

# MYŚL NARODOWA

## DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK VIII. Nr 24

WARSZAWA, 15 PAŹDZIERNIKA 1928 R.

CENA NUMERU 1 zł.

### O STANIE KULTURY POLITYCZNEJ

**N**IE wydaje się, aby tkwiła w tem przesada, albo częsty w ocenie współczesności pesymizm, jeśli się powie, że lata ostatnie zaznaczają się wyraźnym upadkiem kultury politycznej społeczeństwa polskiego. Pogląd ten sprawdzić można na dość długim szeregu niezmyślonych i nowych, albo z nowym natężeniem występujących faktów.

Fakty owe nie kryją się w cieniu, nie są trudne do stwierdzenia i zdaje się nawet, jakby odsłaniały główne źródło swego powstania. Uderzają zarówno w ogólnych liniach polityki rządu, jak w zjawiskach życia społeczno-politycznego: w życiu stronnictw i stosunku ogółu do polityki, we właściwościach opinii publicznej i jej pojęciach politycznych, wreszcie w ogólnym pojmowaniu polityki przez koła oświecone.

Bardzo charakterystyczna jest już sama postawa kół inteligentnych wobec życia politycznego. Stała się ona — i to bezwątpienia nie była taką oddawną, lecie stała się w ostatnich latach — zdecydowanie negatywna. Stosunek do partji politycznych i charakter odwrócenia się od nich, popularność haseł bezpartyjności i bezprogramowości, głoszenie, że polityka jest czynnością jałową, a pozytywną jest tylko praca zawodowo-gospodarcza, zmierzch autorytetów politycznych — oto długi szereg zjawisk świadczących, że społeczeństwo odwróciło się od polityki, że jest ona niepopularna i niemile widziana.

I odwrócenie się to nie ma wcale właściwości czegoś pomyślnego i dodatniego. Nie jest to abstynencja, która ma za punkt wyjścia spokój całkowitego zaufania i poczucie spełnionego obowiązku, że całość spraw narodowych, że politykę wzięły dłonie najlepsze. Nie jest to radosne oddanie się obowiązkowi codziennym i szczegółowym, bo sprawy ogólne na długo utwierdzone zostały. Przeciwnie: zniechęcenie, zawód, przemęczenie, bierność otaczają nastrój apolityczności,

który rozpościera się w polskiej opinii publicznej. Brak zainteresowania dla programów politycznych nie jest bynajmniej wiarą w ich nieomyślność, ale lekceważeniem myśli politycznej. Kult interesów partykularnych i gospodarczych nie wypływa z poczucia spełnionego obowiązku wobec spraw ogólnych, ani z przeświadczenia o ich kwitującym stanie; nie wiąże się z nimi, ale raczej przeciwstawia, jako objaw rozwydrzonego egoizmu i zwycięstwa niższych typów ludzkich i instynktów gorszego gatunku.

Jeżeli wymienione zjawiska nie miałyby siły przekonywającej, jeśli nie nasuwają się analogie z naszej przeszłości — niedawno kompetentnym piórem prof. Konopczyńskiego w artykułach „Myśli“ kreślone czasy saskie — jeśli nie zastanawia popularność haseł bezpartyjności w tym ciemnym okresie zamętu i upadku politycznego Polski, warto przyrzeć się naszej współczesnej myśli politycznej od innej strony.

Kultura polityczna dziesięcioleci ustaliła sens pewnych terminów politycznych: głównych prądów myśli, haseł, ważnych ogólnych pojęć. Kiedy ktoś wypowiadał czy pisał słowa: demokracja, liberalizm czy konserwatyzm, monarchja czy republika, wreszcie partja lub polityka, przywiązywał piszący wraz z czytelnikiem do tych samych wyrażen podobny mniej więcej sens — na tyle podobny, że uczciwe porozumienie było możliwe. I kiedy np. polska partja konserwatywna przestała nią być w rzeczywistości, co do swego programu, i pozostało jej tylko imię konserwatyzmu, opinja publiczna umiała to wówczas zrozumieć, dała sobie ową rzecz wyjaśnić.

W ostatnich latach zaszły pod tym względem zmiany niepomyślne. Pojęcia polityczne straciły bezwątpienia na jasności i ścisłości, sens ich i rozróżnienia zatarty się, wszystko stało się bardziej giętkie, elastyczne, wodniste, wszystko utonęło w płynie dosta-

tecnie mętnym na to, by zgubić w nim kształt i barwę. Dyktatura czy konstytucja, monarchja czy republika, demokracja, soldateska, liberalizm, faszyzm, owiane zostały razem poetycznym cieniem, w którym nabierać mogą fantastycznych kształtów. Weszło powszechnie w zwyczaj opowiadanie się za programami popularnymi, głoszenie haseł posiadających wzięcie, przy równoczesnym podsuwaniu ustalonym terminom i nazwom odmiennej niż dotąd, często przeciwnej treści.

Zeglowanie pod fałszywą flagą należy do utartych metod dzisiejszego życia politycznego.

Jeśli się coś konkretnego w polityce przedsięwzięje, jeśli się projekt jakiś stawia, powiada się najspokojnie na zebraniach konserwatywno-monarchistycznych i pisze w publikacjach dla tych kół przeznaczonych, że zamiar ten przygotowuje monarchję, a godzi w radykalizm; ta sama rzecz referowana radykałom jest radykalna, czerwona dla socjalistów. Faszystowska reforma ustroju, bliżej obejrzana, okazuje się systemem demokracji amerykańskiej, śmierć liberalizmu — utrzymaniem powszechnego głosowania, przeciwników i zwolenników parlamentaryzmu godzi się systemem, w którym parlament istnieje, ale... nie funkcjonuje.

Powstałe we Lwowie ugrupowanie zwane „Zespołem stu“, znane w powodu owładnięcia organem polityki narodowej, „Słowem Polskim“, stanowi klasyczne ognisko tego zamieszania pojęć, którem odznacza się bieżący okres życia politycznego. Ci heroldowie najgłośniejsi końca „świata demo-liberalnego“ nie odczuwają wyrzutów sumienia, trwając zarazem przy powszechnym głosowaniu i godząc się zupełnie łatwo z „demo-liberalnym“ ustrojem amerykańskim, skoro koła rządowe projekty takie rzucają. Zwalczają zaciekle „poprawianie parlamentaryzmu“, o ile głosi je p. Dubanowicz, ale cytują długie w tym duchu artykuły, jeśli pochodzą z obozu im sympatyczniejszego. Nieubłagani wrogowie liberalizmu i „organiczni nacjonałiści“ zdecydowali się już popierać liberalną politykę „mniejszościową“ rządu na wschodzie, krusząc kopje w obronie ukrainofilizmu p. Józefskiego, wojewody wołyńskiego.

Aczkolwiek przywódca „Zespołu“, sam p. Mejbaum w programowej broszurze tej grupy głosi teorię zwalczania „mechanicznych środków“ i przymusu zewnętrznego, „Zespół stu“ bynajmniej nie „staje w poprzek łodzi“ systemu klasycznie mechanicznego i opartego na fizycznym przymusie, jakim jest dyktatura wojskowa. Jestże więc p. Mejbaum demo-liberałem, czy nim nie jest, czy też „jest nie będąc“, co według formuły, zawartej w wymienionej broszurze, jest możliwe? Musimy sobie odpowiedzieć, że w każdym razie jest (i to „jest, będąc“) zwolennikiem takiej czy owakiej, każdej polityki dzisiejszego rządu.

Tak mniej więcej wygląda szczególne nasilenie owego procesu, w którym pod osłoną wielkich haseł i programów, wyzuwanych z treści, ogołaczanych z sensu, opacznie interpretowanych, odbywają się proste przegrupowania taktyczno-polityczne.

A jakiegokolwiek byłyby tego przyczyny, jakiegokolwiek podkład moralny, co do tematu naszego należy

tylko ubocznie, naskutek tego cierpi opinja publiczna, cofa się kultura, powstają zapory dla prądów niosących świeżość, jasność i logikę, porządek i uczciwość myślenia. I chaos ten szerzony jest w okresie istotnego przełomu form życia zbiorowego, w którym narody pozbawione uczciwej, jasnej i mocnej myśli przewodniej, zgubią się niechybnie i zatracą.

Główną przyczyną opisywanego stanu kultury politycznej i dekadencji społeczeństwa w tej dziedzinie jest bezwzględne położenie, w którym rząd i jego obóz, dążąc do skupienia pod swoim kierownictwem możliwie najwięcej kół, warstw i ugrupowań, głosił w tym celu bez skrępowań albo rozmaite hasła i programy, zależne od tego, dla kogo były przeznaczone i kogo miały zjednać, względnie oświadczał się za bezpartyjnością, apolitycznością i bezprogramowością, o ile wydawało się, że taka metoda będzie w pewnych wypadkach skuteczniejsza. Położenie, w którym naczelna władza polityczna dostała się grupie, niechętnie ujawniającej swoje rzeczywiste plany i grupie reprezentującej niejednolity i nienajwyższy stopień kultury politycznej narodu — mieszaninie ludzi o przestarzałej i skostniałej kulturze dziewiętnastego stulecia, oraz elementów żywotnych, ale zbyt prymitywnych, wojskowo raczej, niż politycznie myślących.

Z punktu widzenia doktryny politycznej dzisiejszej partji rządowej, przeciwstawiającej rząd oświeconym kołom narodu, lekceważącej jego siły twórcze, zdolności i samowiedzę, kultura polityczna społeczeństwa może być uważana za sprawę małego znaczenia. Inaczej obóz narodowy. Z jego punktu widzenia stan samowiedzy narodowej, jasność i siła myśli politycznej, rozwój i postęp w kulturze tej najogólniejszej dziedziny jest najważniejszym warunkiem pomyślnej przyszłości, przyszłej potęgi i wielkości narodu. One bowiem, siły twórcze narodu są jedynym źródłem życia i rozwoju.

Dlatego też w dzisiejszem zwłaszcza położeniu, kiedy materialna i formalno-prawna siła polityczna spoczywa we władzy obozu przeciwnego, rzeczą kierunku narodowego jest dbać o kulturę polityczną, prostować drogi myśli, usuwać chaos i wprowadzać porządek, plenić chwasty złej woli i szalbierstwa, wytwarzać warunki, w którychby mogła się rozwinąć nowa, tak konieczna odnowionemu państwu twórczość polityczna.

Zwłaszcza nieodzowne jest ustalenie nie tylko teoretyczne ale i wpojenie opinji zasadniczych podstaw i postulatów polityki narodowej, sformułowanych tak jasno i konkretnie, aby niemożliwością było w imię popularnych haseł narodowych spełnianie przeciwnych, albo choćby odmiennych celów politycznych.

Jasna, pozytywna i powszechna wiedza o tem, czym jest naród, gospodarstwo narodowe, rząd i ustrój narodowy, jakie są warunki zewnętrzne rozwoju Polski, jaka jest dla niej wartość istniejących prądów myśli: demokracji, liberalizmu, socjalizmu, czy faszyzmu, uniemożliwi podstępne posługiwanie się wpływowym już frazesem narodowym.

ZDZISŁAW STAHL

## O WŁADZTWIE I GODNOŚCI

### I.

**N**ACJONALIZM wysuwa kwestję istoty władztwa (pochodzenia i uprawnień władzy).

1. Nacjonalizm współczesny wywodzi się z idei demokratycznej: Naród, pojęty jako ogół obywateli, jest w konstytucjach dzisiejszych (także w polskiej Konstytucji 17 marca) źródłem władzy. Sprawowanie władzy ma na celu dobro narodu i tylko władza dla tego celu ustanowiona, jest moralnie uprawnioną. Stąd władza najezdnicza sankcji tej nie posiada.

Ale odrazu nasuwają się tu wątpliwości: Co jest właściwie „naród”? „Ogół obywateli” — głosi „fikcja prawna”. Jednakowoż przyznać należy, iż opinia „ogółu obywateli” nie stanowi jeszcze o dobru narodu. „Dobro narodu” jest kwestją trudną i czasem skomplikowaną niesłychanie, której absolutnie rozstrzygnąć nie może chwiejna i często niekompetentna opinia obywateli, wyrażająca się w głosowaniu powszechnym. Niema zresztą żadnej mistycznej gwarancji, że opinia ta, zawsze i wszędzie, będzie chciała akurat „dobra narodu”.

„Dobro narodu” bowiem, to nie co innego, jeno interesy rozwojowe danej wspólnoty cywilizacyjno-politycznej, interesy wymagające, dla zrozumienia ich, badań ściśle rzeczowych, oraz aspiracji sięgających ponad sprawy dnia powszedniego. „Ogół obywateli” pojęcia „narodu” bynajmniej nie wyczerpuje. Naród istnieje w czasie niepomierne dłuższym, niż życie każdego z obywateli; i naród uświadamia się dopiero w środowisku, które kulturę narodową wytwarza szczególnie intensywnie; co więcej, naród, jako wspólnota cywilizacyjna i polityczna jest wytworem pewnej grupy szczególnie świadomej. Więc ostatecznie władza narodowa przedewszystkiem tej grupie, tej elicie przysługuje; idzie ona nie z dołu, ale z góry, dopiero rozszerza się w dół i wciąga w siebie ogół obywateli, ale nie z niego się wywodzi.

2. Brzmi to napozór bardzo rażąco; ale wystarczy tylko skonfrontować koncepcję tę z rzeczywistością, by przekonać się, że to „artystokratyczne” źródło władzy jest czemś, na co niejednokrotnie godzimy się, gdy się z nim w życiu spotkamy.

Wyobraźmy sobie np. panikę w teatrze, pożar czy katastrofę. Gdy tylko znajdzie się ktoś, co, sam opanowany, zdoła objąć komendę, rzucić hasła zaradcze, to oczywiście nikt nie pyta o jego „prawo” do rozkazywania, każdy szczęśliwy jest, że ktoś przecie nie stracił głowy. A gdyby takiej jednostce energicznej w jej rozkazach ratowniczych chciał ktoś przeszkadzać, to powszechne oburzenie każe mu zamilknąć.

Coś podobnego, ale na wielką skalę odbywa się w dziejach. Władza powstaje *de facto* drogą nie tyle układów, ile inicjatywy jednostkowej. Teraz, po wojnie, miewaliśmy sposobność wladzotwórczy proces dziejów przyłapać *in flagranti*.

Weźmy oto np. obronę Lwowa. Tu, w tem mieście robił się na żywo naród. Czyż przed rozpoczęciem tych sławnych bojów urządzano wśród Polaków lwowskich jaki plebiscyt? Nie, poprostu garść odważnych postanowiła Lwowa bronić. I ta garść wydawała rozkazy i rozporządzenia, do których reszta mieszkańców, chcąc nie chcąc, stosowała się. Ta garść wadała w imię złożonej w swych sercach idei

narodu — i przyznać trzeba, że tylko małoduszni przeciwi władzy tej sarkali.

Teoria powstawania władzy drogą „z góry”, droga inicjatywy jednostek, jest jeno uogólnieniem takich oto faktów, faktów, przeciwko którym normalna intuicja moralna nie ma nic do powiedzenia.

3. Wszelakoż zaprzeczać niema powodu, że — zarazem — teoria ta może być bardzo niebezpieczna, uprawnienie dać mogąc wszelkiemu najazdowi, osłone typom najezdniczym różnego rodzaju. Dlatego wymagana tu jest pewna przeciwwaga, potrzebne pewne ograniczenie.

Przeciwwaga ta wyniknie z idei całokształtu kultury. A mianowicie: Tak, jak faktem jest moralnie akceptowanym (uprawnionym) ów sposób wytwarzania się władzy — tak samo faktem jest, że jesteśmy ludźmi przez kulturę naszą ukształconymi w taki, a nie inny sposób.

Mam tu na myśli mianowicie, ten konkretny fakt — (ni mniej, ni więcej, tylko „fakt”) — że jest w nas, w mniejszym lub większym stopniu, między innymi, akceptacja miłości bliźniego. Tacy jesteśmy — bo takimi nas zrobiła nasza kultura, co nas, jako ludzi, jako jednostki społeczne poczęła w swem łonie.

I oto pewne jest dla nas, że władza, któraby nie działała w zgodzie z ideą miłości bliźniego, będzie w sumieniu naszym nieuprawnioną do władania nami — albowiem będzie na tle całokształtu kultury naszej czemś dysharmonijnem, nieodpowiedniem, „nieładnem”.

*Mutatis mutandis* da się podobnie powiedzieć i w stosunku do wszelkich innych idei moralnych, tkwiących w całokształcie kultury. „Uprawnienie” władzy to jest tylko uprawnienie jej moralne, stwierdzenie, że wychowuje ona obywateli w myśl idei istotnych danego całokształtu kultury — a conajmniej, że idee tych nie narusza. Uprawnienie to więc stwierdza się na podstawie nie kryterjów formalnych, dotyczących sposobu jej powstawania, ale merytorycznych, w myśl oceny rzeczowej jej działania ze względu na dany kompleks kulturalno-ideowy.

4. Wszakże tu znowu powstaje wielka wątpliwość: Faktem jest mianowicie, że idee naczelne kultury są interpretowane różnorako, a zatem, czy powyższa koncepcja uprawnienia władzy nie ośmiela i nie usprawiedliwia prób opanowania siłą władzy ze stron różnorodnych?

Ale zapytajmy tu: co zyskalibyśmy, gdybyśmy koncepcję tę — opartą na — (trudnem zresztą do sformułowania jednorazowego) — kryterjum merytorycznem — odrzucili i próbowali ustanowić jakieś bezwzględne formalne kryterjum uprawnienia władzy?

Czyliż tem samem kres położylibyśmy wszelakim knowaniom rewolucyjnym ludzi, którzy na kulturę naszą inaczej zapatrują się, niż my? Czyliż oni naszymi „nierelatywnymi” kryterjami czuliby się skrzepowani? Fakt pozostałby faktem, że pewna ilość naszych współobywateli pragnie siłą opanować władzę — aby zmienić bieg naszej kultury — i to jest jedyna rzecz, która nas może realnie obchodzić; świadomości zaś dojrzałego człowieka zupełnie wystarczy do gotowości bojowej wieczne tylko to: „co mam do

„Tęczy? Tęczy?” i ta postawa, postawa pozornie autokratyczna, postawa walki bezwzględnej o wartości względne (metafizycznie względne) — jest w gruncie rzeczy bardziej wyrozumiałą, bardziej ludzką, niż ta, która wytyczne swojego postępowania ujął chce w jakieś powszechnie obowiązujące, ze subiektywności zupełnie oczyszczone prawo: „Chcesz mnie zniszczyć? Ha, wobec tego, strzeż się; ja, skoro tylko dopadnę cię, zniszczę cię”. I to wszystko<sup>1)</sup>.

O to idzie. Żadne kryteria formalne uprawnień władzy nie uwolnią nas od walki o władzę, skoro idzie o cele takie, jak utrzymanie istotnych tradycyjnych intencji naszej kultury, lub ich gruntowna zmiana. Tu mieć może miejsce perswazja metafizyczna, dotycząc samej istoty naszej kultury. Gdy ona chybi, to pozostanie tylko: Rewolucja i kontrewolucja. Obie równo, z punktu widzenia danych typów, nieuniknione — i — moralne.

5. Pozostaje przecież inna, subtelniejsza kwestja. Pomińmy już zdecydowanych wrogów naszej kultury, wobec których uzasadniona jest jedyna tylko postawa, bojowa. Czyż jednak wewnątrz danej kultury i danej społeczności narodowej niema wielu różnic w interpretacji jej potrzeb istotnych, czy zatem — jedynym kryterjum prawności zdobywania władzy (*nb.* choćby siłą) ustanawiając kryterjum merytoryczne pożytku kultury czyli to właśnie, co nastęrcza tyle wątpliwości — w duszach ludzkich nie zasiejemy chęci dochodzenia do władzy za wszelką cenę, choćby po trupach rodaków? Boć przecie łatwo wymówić się: „Pragnąłem doba narodu, działałem dla pożytku kultury narodowej”... I stąd, czy nie zachwiejemy idei prawa, idei, która wszak na podstawie cech formalnych wartościuje postępkę?... A przecie, w życiu obyczajnym potrzebne są, *quand même*, pewne nakazy i zakazy czysto formalne, aby życie to miało formę i sprężystość — potrzebną jest w niem taka świadomość: „Jakiemkolwiek miałbym intencje, to jednak gdybym tak a tak nie uczynił, lub postąpił tak a tak — zachowałbym się źle”.

Kwestja zawila. Sprobujmy jednak podejść ku niej. Przypuściliśmy powyżej, że mamy do czynienia z człowiekiem, który działa „wewnątrz danej kultury, wewnątrz narodu” — to znaczy przypuściliśmy człowieka, któremu na dobrobycie danej kultury, na powodzeniu danego narodu zależy. Otóż wolno chyba spodziewać się po człowieku takim, że w swem dochodzeniu do władzy liczyć się będzie nietylko ze swoją własną interpretacją potrzeb kulturalnych i narodowych — lecz i z innymi względami: więc przede wszystkim z bezpieczeństwem narodu; cóż z tego, że przeprowadzić chce moje plany, być może świetne, kiedy samo przeprowadzenie ich zachwiać może bytem narodu, który przypadnie razem z mojemi wspaniałemi projektami?...

A i zasadniczo godzi tu liczyć się z ową, zgoła niewątpliwą tendencją kulturalną, ażeby życie układać pokojowo i do argumentu broni uciekać się tylko w razach najniezbędniejszych, — ażeby bój coraz wydatniej transponować w sferę argumentów duchowych. „Postępuj tak, aby postępowanie twoje odpowiadało naturze zachodzącego stosunku (społecznego), a w ostatecznych wynikach prowadziło do wyższego stopnia uspołecznienia” (Balicki). To znaczy,

<sup>1)</sup> I ten brak pogardy metafizycznej dla przeciwnika jest może owem *residuum* miłości w nienawiści, przykazanem nam chrześcijanom, *residuum* możliwem właśnie w dramatycznym, polemicznym poglądzie na świat... A w praktyce to wygląda tak: Szanowanie godności ludzkiej nawet we wrogu, którego się niszczy.

jeśli jesteś przyjacielem, to nie postąp nagle tak, jakbyś był obojętny — to jest niemoralne; jeśli jesteś obywatelem, dbaj o rozwój kultury narodowej — to „nie obniżaj samowolnie typu stosunków społecznych, dąż do ich stałej równowagi, a po jej osiągnięciu zmierzaj do podniesienia się tego typu o szczebel wyżej” (Tenze).

I to byłoby owo formalne poniekąd, a wysnute z bezpośredniej intuicji życiowej kryterjum przy ocenie moralnego uprawnień władzy zdobytej siłą — kryterjum, które w praktyce wyrazi się pytaniem: „czy siła była jedynym sposobem dojścia do władzy?” — kryterjum jednak, które nie może rościć sobie pretensyj absolutnych, skoro w sądzie o każdym dojściu do władzy przemocą, narówni z niem, a raczej na pierwszym miejscu, wystąpi pytanie merytoryczne, pytanie o to, czy władza zdobyta sprawowana była w zgodzie z potrzebami danej społeczności narodowej, pomyślanemi najsumienniejszemi i t. p., czy energie pracy danego społeczeństwa nie były lekko-myślnie marnowane i t. p.

6. Otóż — (i tu zawracamy do sprawy udziału we władzy „ogółu obywateli”) — jeśli władza jest czemś z istoty swojej „arystokratycznym” — to jednak z drugiej strony, kierowani względem na istotne intencje kultury naszej, organizowanej m. i. zasadą miłości bliźniego, — musimy baczyć na to, ażeby żadna grupa władająca, grupa, któraby początkowo wystąpić nawet mogła z najlepszą wolą — nie mogła z czasem skostnieć, zasklepić się, przybrać charakter najezdniczy, t. zn. skierowany przeciw reszcie społeczeństwa. Tembardziej, z tego punktu widzenia, nie do zniesienia będzie grupa, któraby zgóry przystąpiła do władzy z wyłącznym zamiarem zmonopolizowania władzy i korzyści z niej dla samolubnych celów. Taka władza bowiem, w naszych oczach, w oczach ludzi *de facto* takich a nie innych, ludzi wyrosłych na tej, a nie innej kulturze, nie może być moralnie usprawiedliwiona, nie może być „władzą prawą”.

Elita dobrej woli, elita pragnąca wychowywać społeczeństwo w ideałach całokształtu naszej narodowej i chrześcijańskiej kultury — byłaby uprawnioną do zagarnięcia władzy, do „dyktatury”; ale, jeżeliby ta władza jej miała być uprawnioną, to elita taka musiałaby sama zabezpieczyć się przeciw własnemu ludzkiemu, arcyłudzkiemu samolubstwu, musiałaby więc, z jednej strony, wytwarzać porządek prawny, któryby ją samą powściągał i ograniczał, z drugiej zaś strony pozostawić ogółowi obywateli możliwość szeroką obrony swoich słusznych praw i interesów, jakieś specjalne obrony tej *forum*; jako o uprawnionej więc mogłaby być mowa tylko o dyktaturze wychowawczej. Postulat ten zostanie dobitnie podkreślony i przez to, że różnice między elitą, a resztą społeczeństwa są raczej kwantytatywne — niż kwalitatywne (bo każdy jest znawcą rzeczy na jednym polu, a ignorantem na innych), a następnie, że zwłaszcza, gdy idzie o „elitę moralną”, trudno wytworzyć jakieś obiektywnie pewne, kazuistyczne kryteria przynależności do niej.

Streszczam: Nawet ta dokonywająca się w umysłowości współczesnej przemiana, która wyraża się w zamianie poglądu na istotę władztwa „kontraktowego” na pogląd „inicjatywny” — nawet ta przemiana nie może całkiem z naszej wyobraźni politycznej usunąć, ani (a) jakichś, nowych zresztą, lepiej do istoty nowoczesnego życia zbiorowego przystosowanych form demokracji, ani tembardziej (b) idei po-

rzędu prawnego, porządku określającego się pewnymi znamionami natury formalnej.

## II

7. Towarzyszyło wywodom poprzednim o władztwie założenie, że całokształt idei i tendencji kulturalnych da się obiektywnie wyznaczyć. Bez założenia owego wywody te tracą sens.

Z pewnością jednak, byłoby ultraintelektualistyczną naiwnością przypuszczać, że da się całokształt ten uchwycić w sposób równie jednoznaczny, jak np. formułę procesu chemicznego. Ale jest inny jeszcze, pewniejszy i zgodniejszy sposób podchodzenia ku związkowi syntetycznemu intencji pewnej kultury, ku jej „duchowi“.

I tak: Jakiegokolwiek bądź zamiary ostateczne mogłaby mieć władza i jakiegokolwiekby sposobem ona się skuteczniała, jedno musi pozostać pewne: Jest pewna granica poczynań władzy, poza którą zaczyna się bezprawie — i od zdrowej myśli prawnej w społeczeństwie wiele zależy, czy obywatele od razu i bez wątpienia wiedzieć będą nietylko to, czego im nie wolno czynić — lecz i to, czego im „znosić nie wolno“ (Balicki).

I właśnie granicę tę wyznaczy bezpośredni odruch uczuć, intuicja ludzi o których powiada się, że mają godność.

Rodzaj godności, to z pewnością najbardziej dla danej kultury znamienny jej wytwór, poziom godności z pewnością najlepiej mierzy, o ile się żyje „w duchu“ danej kultury.

Mieć godność, albo nie mieć jej. Tu łańcuch rozumowania zamyka się znowu: prosto na fakcie.

8. Coprawda, jeszcze jedna wyłoni się tu wątpliwość: możnaby mianowicie zarzucić tu ów biegunowo przeciwny ultraintelektualizmowi błąd, — błąd, że tak powiem, „ultraintuicjonizmu“ — polegający na zupełnym niemal zredukowaniu roli wyobrażeń, idei w procesie psychicznym i jak się to ma np. w owej tak zresztą uroczej i bliskiej z pewnością prawdy, ale niewątpliwie przesadnej częściowo w swym „irracjonalizmie“ — „psychologii życiowej“ Müllera-Freienfelsa. Wszak, jeśli moje poczucie godności powstanie przeciw jakiemuś aktowi władzy, to na sprzeciw ten złożą się nietylko bezpośrednie odruchy uczuciowe, ale też i znaczenie swoje mieć tu będą pewne wyobrażenia, pewien „racjonalny“ (tu w znaczeniu wyrażalności językowej) sąd o tem, co leży w granicach uprawnienia władzy — a więc i wyobrażenie pewnego porządku prawnego. Stąd wynika, że odwołanie się, jako do instancji ostatecznej, do intuicji (jak w ust. 7), byłoby nietylko sprzeczne z konkluzją (b) ust. 7 — lecz, co więcej, odwołanie się to, psychologicznie oświetlone, odsłoniłoby wewnętrzną sprzeczność logiczną: Intuicja wyznaczałaby zarysy porządku prawnego — ale sama wyznaczana byłaby wyobrażeniem owego porządku.

Tak jednak nie jest. Dla ilustracji analiza faktu konkretnego:

Wyobraźmy sobie, że władza pozwala panoszyć się bezkarnie jakiemuś oszczercy z zamiłowania, a to z powodu, że należy on do grupy rządzącej. O obywatelu, któryby na fakt taki nie zareagował oburzeniem, rzeklibyśmy snadnie, że pozbawiony jest obywatelskiej „godności“.

Intuicyjnie dane jest nam oburzenie, bezpośredni odruch uczucia wobec tego oto zdarzenia konkretnego.

Otóż na to się zgadzam zasadniczo, że pewne stany intuicyjne, a mianowicie, które wydają mi się

jakby wprost nieprzewyciężone, są normatywne, stanowią podstawę systemu wartościowania.

Zbadać jednak należy, czy dany stan intuicyjny jest rzeczywiście nie do przewyciężenia, względnie czy należy dążyć do przewyciężenia go czy, owszem, należy go raczej wzmocnić, ustalić?

Na to ostatnie, t. j. na wzmocnienie jego niewątpliwie wpłynie zracjonalizowanie danego faktu czyli upodobnienie jego z innymi, które również analogiczny stan intuicyjny wywołują. Dany fakt przestanie być czemś wyjątkowym, stanie się wyrazem pewnej intencji.

W naszym wypadku, badając introspektywnie stan nasz oburzenia, znajdujemy w nim jako moment aperceptywny, ocenę danego faktu, jako „najeżdniczego“.

W jaki jednak sposób znalazłem samą definicję „najeżdniczości“, definicję, zawierającą w sobie wartościowanie ujemne?

Znalazłem ją na skutek mojej reakcji oburzenia wobec innych rozmaitych w historii faktów „podobnych“ — przyczem zasadą podobieństwa (zasadą formalną) będzie wyobrażenie grupy, która władzę sprawuje dla celów własnych, a nie dla korzyści reszty społeczeństwa, ani dla realizowania ideałów danej cywilizacji.

A więc z jednej strony intuicja oburzenia mojego wobec faktów „najeżdniczych“ konkretnych jest podstawą mojego ujemnego ich wartościowania, ale z drugiej strony świadomość, że dany fakt konkretny jest formalnie najeżdniczym wzmacnia intuicję moją oburzenia, usprawiedliwia ją, — a nawet, gdybym intuicyjnie wobec faktu podobnego nie zareagował, nie zareagował bezpośrednim odruchem uczucia, to jednak z chwilą utożsamienia go, jako najeżdniczego, oburzenie pojawi się, co więcej, powinno pojawić się — o ile tylko sama „najeżdniczość“ mój sprzeciw wywołuje.

Ale z kolei racjonalizacji wymaga sama intuicja sprzeciwu wobec najeżdniczości. I tu znowu znajdziemy rozmaite „zasady“, idee, które też, ze swojej strony są uogólnieniem logicznym różnorodnych faktów intuicyjnych. I tak: Wiadomo mi, że grupy, które określałem formalnie jako najeżdnicze obrażają niejednokrotnie cześć ludzką, że, aby szacunek ich pozyskać, trzeba mieć odpowiednią ilość siły materialnej; a przecież — i tę właśnie zasadę dyktują mi znowu fakty intuicji — bezsilność materialna człowieka nie odbiera mu prawa do szacunku, jaki mu skądinąd przysługuje.

Ta zaś intuicja znowu racjonalizuje się zasadą najogólniejszą, „prymatu ducha nad ciałem“, zasadą przewodnią naszej, spirytualistycznej cywilizacji — zasadą, która z jednej strony wylogizowana została obiektywnie z najrozmaitszych faktów naczelných cywilizacji naszej i jako taka złożona jest w naszym intelekcie — ale która z drugiej strony wpojona nam została w mniejszym lub większym stopniu „irracjonalnie“, przez samo życie, więc obyczaj, wychowanie i t. d.

— Ale już w konkretnym fakcie oburzenia na jakieś ze względów partyjno-politycznych znieśławienie ludzi, te wszystkie dalsze, ogólniejsze motywy, rolę swą, mniej lub więcej świadomie grały. Czyli racjonalizacja faktu tego, jako niewątpliwie niewartościowego (moralnie ujemnego, jurydycznie bezprawnego) nie potrzebuje ograniczać się do jego oceny socjologicznie formalnej jako „najeżdniczego“, na racjonalizację tę bowiemłożyło się wiele innych jeszcze motywów, motywów o charakterze dwustronnym, uczuciowym i intelektualnym. Linja okrężna ruchu logicznego, od faktów intuicyjnych do zasad intelektualnych, od afek-

tecz, uczuć, do wyobrażeń, idei — i z powrotem — nie jest kołem, tylko spiralą. Na odcinku intuicji jest ustawiony nowy logicznie element — zasób mianowicie faktów intuicyjnych, o wiele bogatszy i szerszy, niż te intuicyjne fakty, z których wylogizowuje się pojedynczą zasadą intelektualną. To znaczy tu: Wyobrażenia, idee porządku prawnego wylogizowane są wprawdzie z niektórych faktów intuicji — ale nawet bez wylogizowania tych właśnie faktów, zasada intelektualna porządku prawnego pozostałaby w linjach swych naczelnych tę samą — albowiem ku niej prowadzą też całe szeregi innych jeszcze faktów intuicyjnych, nie tyjących się bezpośrednio spraw struktury społecznej, ale wyrażających całokształt intencji kulturalnych, pełnię życia w kulturze.

A zatem: Nie koniecznie potrzeba mieć jakieś ściśle określone zasady porządku prawnego, jakieś logicznie sformułowane idee władztwa — aby móc i mieć prawo zareagować uczuciem gniewu wobec bezprawia, wobec nadużycia władzy, aby móc i mieć prawo pewne zdarzenia tak właśnie skwalifikować: Wystarczy tu bowiem mieć jeno w psychice swej

*implicite* złożone najistotniejsze intencje kultury naszej, tej kultury, która bardzo stanowczo wywyższa duchowość ponad cielesność — wystarczy, jednym słowem, posiadać poczucie godności europejskiego i chrześcijańskiego człowieka<sup>3)</sup>. Ale zarazem, z drugiej strony, potrzebna jest praca intelektualna nad wyklarowaniem idei porządku prawnego i istoty władztwa, praca ta bowiem ustali, skoryguje, wywoła, usprawiedliwi intuicję godności.

9. Dodam wreszcie, że nacjonalizm, o ile wogóle ma on oznaczać pewną metodę myślenia, to w taki właśnie sposób zachowuje się wobec zagadnień wartościowania. O wartości lub niewartości aktu stanowi tu stosunek jego, konstruktywny lub destruktywny, do całokształtu danej historycznie kultury, akt więc zostaje zrationalizowany przez idee, całokształt ów wyrażające (moment intelektualny); całokształt zaś ów trzyma się na pewnych intencjach uczuciowych, „najgłębszych“, psychologicznie *quasi* — nieodpartych (mom. intuicyjny) — a historycznie przytwardzonych<sup>4)</sup>.

Sucha 16.9 1928

KAROL LUDWIK KONIŃSKI

## NIETZSCHE — PRZEGADANY I PRZEMILCZANY

Z A czasów Młodej Polski wzbierało zainteresowanie filozofją Nietzsche'go dużemi falami — i w tym już okresie zaznaczyły się dwa kierunki: entuzjastyczny, rozkochany raczej we frazeologii niż duchu nietzscheanizmu i potępiający sumarycznie doktrynę autora Zaratustry, nie wiele troszcząc się o przeniknięcie do jej głębi. Pierwszy kierunek uwiadł: w Europie indywidualizm począł się szybko likwidować wypierany przez kolektywizm; u nas kolektywizm ten, wyznawany nie bez naiwnego snobizmu, skąpany we frazeologii, krzykliwy a mało gruntowny, wyświecił nietzscheanizm, co się nazywa. Dziś obowiązuje snobka „współczesności“ lekceważące traktowanie nietzscheanizmu. Kierunek drugi, antynietzscheański, choć za czasów swego powstania był dla młodej generacji suchy, pedantyczny, nudny, rozporządza na rynku intelektualnym dzisiejszym pewnym autorytetem, ile że nikt go nie zwalcza, a niezwykle prostem i łatwym ujęciem zagadnienia jedna on sobie zawsze umysły, szukające rozwiązań stanowczych i lekko strawnych. Myśl filozofa, z chwilą gdy uzewnętrzniła się w postaci napisanego dzieła, przy pierwszym zetknięciu się ze światem rodzi dwa procesy, najczęściej równoległe, rzadziej wpływające na siebie: krytykę rzeczową, historyczną i systematyczną — i żywą reakcję człowieka współczesnego na ten nowy przejaw życia duchowego. Ze rozbieżność tych reakcji i ich

nieskoordynowanie są zgubne dla kultury, że marnotrawią moc sił duchowych i są źródłem wielu nieporozumień, to zdaje się poczyna świat dzisiaj coraz dokładniej rozumieć, a postulat wiwifikacji nauki coraz śmielej wysuwać.

Jeżeli, jak się rzekło, reakcja naukowa i społeczna (aby mówić krótko) rozmiągają się, pierwsza gubiąc się w bezmyślnej nieraz drobiazgowości, druga tonąc w komunale — to nie wyłącza to jednak pewnych między niemi zbliżeń, a nawet serdecznych aljansów na wspólnym terenie schematyzmu psychologicznego, tak pięknie rozwijającego się w atmosferze badań przyczynkowo-opisowych i dogadzającego również zamięłowaniu leniwego ogółu do komunale.

Nietzscheanizm właśnie jest znakomitym przykładem takiej *entente cordiale* między uroczystą nauką a uroczystym komunalem,

Nietzsche miał nieszczęście ukucia kilku wyrażen, które zjednały mu popularność ulicy. Popularność ta rzuciła mocną suggestję na umysły, wzięli ją na serjo nawet ci, którzy z natury swego powołania badaczy powinni wykazywać wzmogoną w stosunku do ogółu odporność na suggestję. Urosła legenda o Nietzschem, legenda krzywdząca i niedorzeczna. W szkicu niniejszym pragnę wskazać główne jej źródła, wykryć proces jej tworzenia się. Zdemaskowanie takiej legendy mogłoby znakomicie przyczynić się do wykrycia pewnych stale powtarzających się nałogów myślowych sprzyjających wogóle tworzeniu legend fałszywych.

Nieporozumienie najgrubsze, a zarazem najpopularniejsze z tych, które dookoła nietzscheanizmu się rozpleniły, najgłębiej zakorzenione w krytyce, nieprzychylniej Nietzschemu, jak i wśród opinii potocznej, to utożsamienie etyki nietzscheańskiej z *Junkermoral*.

<sup>3)</sup> „Nieodpartość“ psychologiczna sama przez się nie stanowi w sprawach wartości: Nie dlatego inaczej osądzimy kradzież chleba przez głodnego, aniżeli zgwałcenie kobiety przez wygłodniałego pociowo — ażebyśmy ważyć mieli, który głód jest dolegliwszy... — ale dlatego, że na idei opanowania się seksualnego w dziejach naszej kultury jest akcent szczególny; w atmosferze dzisiejszej nie tak trudno wyobrazić sobie kulturę, w której wykroczenie pociowe będzie spotykać się z takim samym współczuciem, jak głód chleba...

<sup>3)</sup> Na dowód, że nasze poczucie godności naprawdę jest adekwatem intuicyjnym idei „prymatu ducha“, pozwolę sobie na marginesie przytoczyć fakt z innej dziedziny: Poniża wszelkie skupianie się ludzi, całkiem sobie obcych, dla celów wyłącznie cielesnych — aby nie poniżało, musi być jakoś maskowane. Np. jedzenie przy wspólnym stole z ludźmi nieznanymi, wymaga, aby nie było czemś ordynarnem, ładnej zastawy stołu, szczególnej uprzejmości osób do stołu podających, słowem musi być potraktowane jako rodzaj przyjemności estetycznej; tam gdzie występuje w podobnych wypadkach sam nagi cel: siedzenie przy stole wspólnym — jeść, aby nie być głodnym — jak np. w rozmaitych filantropijnych jadłodajniach, tam poczucie wspólnego jedzenia jest czemś ubliżającym. Podobnie i współczesne higienizowanie *en masse*, nietylko dlatego jest nieprzystojne, że długotrwałe poufałe obcowanie osób obnażonych stanowi — przypuszczając ludzi normalnych — silną prowokację seksualną lecz i dlatego, że ta nagość niweluje ludzi, niweluje starych i młodych, poważnych i chłystków, na zasadzie starania o dobrobyt cielesny.

Już bardzo powierzchowny rzut oka na sytuację skłania nas do sceptycyzmu w stosunku do tej opinii. Jeśli bowiem cechą *Junkermoral*, jak wszyscy się na to zgadzamy, jest brutalność i gruboskórność—to polecałoby się zaprawdę większą oględność w przypisywaniu tej etyki jednemu z najwrażliwszych ludzi, o których mamy świadectwa pisane. Jedynie bowiem drogą prymitywnych zestawień słownych udać się może utożsamienie owej *Junkermoral* z etyką Nietzsche'go. Nie zaglądając do biografii, już z pism samych autora „Zaratustry“ widzimy, jak zawziętym, subtelnym, przenikliwym był wrogiem właśnie junkierstwa z jego piwem, krzykiem i pojedynkomanją. Czyż całe „*Was den Deutschen abgeht?*“ pisane jest w duchu junkrów pruskich?

Przy kwalifikowaniu czyjejs etyki jest rzeczą, moim zdaniem, słuszną zastanowienie się nad tem, co ta etyka jej twórcę kosztowała, jaką ceną ją zdobył. Sformułowania definitywne bez wnikięcia w genezę etyki, bez poznania obrazu psychologicznego jej kształtowania się o niczem nas właściwie nie pouczają; można co najwyżej ostrzegać przed niemi ogół, jeśli się uważa, iż mogą być fałszywie i szkodliwie ze stanowiska interesów społecznych rozumiane, nie wolno jednak wypowiadać opinii o tej etyce na mocy tylko jej sformułowań ostatecznych, zwłaszcza gdy się ma do czynienia z tak paradoksalnym stylistą, jakim był Nietzsche. Dla olbrzymich kompleksów swych myśli i doświadczeń szukał on zawsze wyrazu okrutnego w swej zwięzłości i prostocie. Rzecz naturalna, jeżeli się skreśli z rachunku cały proces narastania wewnętrznej wizji, będący nerwem każdego stylu, jeśli się w tym stylu nie dojrzy kondensacji olbrzymiego żywiołu, lecz weźmie słowny rezultat—to bierze się za przedmiot badania nie myśl krytykowanego pisarza, lecz myśl, którą się samemu stworzyło z połączenia słów własnego słownika psychologicznego, ułożonych w deseń, wskazany przez autora. Dystans między Nietzsche'm tak spreparowanym a Nietzsche'm rzeczywistym jest wprost potworny. Postarajmy się zapomnieć o pierwszym a zbliżyć do drugiego.

Ciekawy epizod z życia Nietzsche'go przytacza Möbius, w znanym swem studjum, poświęconem autorowi „Wiedzy radosnej“. Oto podczas swego pobytu w Kolonii zabrnął Nietzsche, dzięki usłudze jakiegoś portjera, do lupanaru. Z przeżytych tam wrażeń zwierzył się następnie Deussenowi: „Znalazłem się nagle w otoczeniu pół tuzina zjaw, tonących w gazie i błyskotkach; patrzyły na mnie wyczekująco. Przez chwilę stałem w milczeniu. Potem instynktownie rzuciłem się do fortepianu, jako do jedynej w tem towarzystwie duszą obdarzonej istoty, spróbowałem kilku akordów. To wyrwało mnie z osłupienia i powróciło mi równowagę“. Wyrażenie o fortepianie jako o jedynej duszą obdarzonej istocie w tem towarzystwie poza tem, że ma wspaniałą siłę ekspresji — jest bezcennym świadectwem tej szlachetnej bojaźliwości wobec spraw i rzeczy brutalnych, która cechowała duszę Nietzsche'go. Wśród sześciu okropnych zjaw dwunożnych znalazła się jedna istota żywa—to czarne pudło zamknięte o strunach, które każdej ręce ludzkiej inaczej odpowiadają, które nie kłamią nigdy.—Zapamiętajmy ten epizod.

Stosunek Nietzsche'go do matki, schludnej, łagodnej, po niemiecku estetycznej staruszki był nacechowany tą specjalną wstrzemięźliwą czułością, wstydzącą się uniesień, taktowną, dzięki głębokości swojej unikającą wybuchów. Barwa psychologiczna tego stosunku tkwi w wyrażeniu „*meine kleine Thörin*“, które autor „Zaratustry“ szczególnie w rozmowach

z matką sobie upodobał w wyrażeniu, kojarzającym pewną życzliwą ironję, kaprys z rzewnością, tą ironją bardzo starannie trzymaną na wodzy. „Wszelkie wyjście z siebie upadła duszę“—oto wycucie, które przez całe życie Nietzsche'mu towarzyszyło. Już dzieckiem będąc, dbał o zachowanie postawy zdecydowanej i spokojnej we wszystkich sytuacjach życiowych. Kiedy razu pewnego wracał ze szkoły, nagle rozpadało się na dobre ale mały Nietzsche kroku nie przyśpieszał. Na zapytanie, czemu tak się zachował, odpowiedział sucho, że kazano im (uczniom) ze szkoły zawsze wracać w porządku.

Jeżeli myśli człowieka ze szczególną uporczywością krążą dookoła zagadnień z higieny ducha, to jest to znakiem nieomylnym, że jakaś jego dziedzina jest silnie zagrożona, że człowiek ciągle czuje obecność mogącego lada chwila wybuchnąć niebezpieczeństwa. Gdyby zapytano mnie, co było tem niebezpieczeństwem dla Nietzsche'go, powiedziałbym: nie smutek istnienia, lecz bojaźń przed możliwością poddania się temu smutkowi. Nietzsche nie tylko odczuwał ciągłą obecność grozy kosmicznej, rozsianej wszędy, ale tej grozie stawiał czoła i więcej bodaj obawiał się faktu kapitulacji przed nią, niż subiektywnych konsekwencji tej kapitulacji—odczucia na swej skórze lodowatego oddechu kosmicznego żywiołu.

Aby czytelnikowi dać wyobrażenie o rozmiarze i napięciu walki, którą Nietzsche wciąż staczał, o tem jaki gatunek faktów wchodzi tu w grę, przypomnę jeden z aforyzmów twórcy „Wiedzy radosnej“. Mowa jest o człowieku śpiącym. Jak zwykle u Nietzsche'go krótkie „niezwiązane“ refleksje. Autor „Zaratustry“ zwraca się do człowieka śpiącego w słowach „*armer gequälter Geist*“. Te słowa mają zupełnie inną cenę u Nietzsche'go, niż miałyby ją u kogokolwiek innego. Te proste słowa współczucia u Nietzsche'go są już katastrofą. Bo też to, co widział w obrazie człowieka śpiącego było ustokrotnioną w stosunku do przeciętnych ludzkich możliwości uczuciowych wizją bólu życia. Chcąc zobrazować sytuację, która Nietzsche'go pobudziła do tego wylewu współczucia, zaryzykowałbym następujące zestawienie. W człowieku śpiącym zamilkło na chwilę cierpienie kosmosu, człowiek się budzi i z nim razem niezgłębiona groza istnienia. Oto obraz. Patrząc nań, niejako uzewnętrzniamy się wobec dramatu kosmicznego, w którym uczestniczymy sami; choć tkwimy w nim, ale spostrzegamy w jego łonie fragment, który w minjaturze maluje nam sytuację kosmiczną człowieka, tak jak globus, który w ręku trzymamy, daje nam wyobrażenie o ziemi i tym jej punkcie, w którym znajdujemy się w tej chwili. Tak, Nietzsche wiedział dobrze, co to jest ból życia, wiedział o nim napewno więcej niż Schopenhauer, który z tego bólu uczynił podstawę swej filozofii. Ale wiedział Nietzsche też o innej rzeczy — o tem, że jest w psychice człowieka sprężyna, której pociśnięcie zmienia zasadniczo nasz stosunek do świata, dając nam moc stanięcia ponad grozą istnienia. Dopóki prawo bólu uważać będziemy za niezwyciężone i rozstrzygające o wartości życia—dopóty zamknięci w tym kręgu doświadczeń, któryśmy sobie takim stosunkiem do świata zakreślili, rzecz prosta, nie będziemy mogli przeeksperymentować innego stanowiska, tego, które Nietzsche proponuje. A Nietzsche proponuje nam właśnie eksperyment. Krytyka eksperymentu poza pracownią jest do niczego nie obowiązująca werbalistyka — tak samo krytyka etyki nietzscheańskiej, rozważana poza gruntem eksperymentalnym, na którym się rozwinęła.

Jakież to był eksperyment? — Użyłem wyrażenia: „stanać ponad grozą życia“. Wyrażenie ogólnikowe

też. Zastępczą nam wybór paru sytuacji psychologicznych. „Ponad grozą życia“ stanął np. Schopenhauer: dla niego znikomość świata była więcej niż doktryną, była poczuciem, które gwarantowało mu pewien stopień bezpieczeństwa. Żeromski ból istnienia wyczuwa nie tylko jako najwyższe prawo życia, ale jako jego jedyne rzeczywiste dobrodziejstwo. Nietzsche uważa za przesadę szkodliwy i upadający człowieka robić z cierpienia *grand cas* — są rzeczy stokroć ważniejsze od cierpienia i o nie ma człowiek walczyć. — Jakież jest to dobro, o które walczyć mamy? — Proste i mężne spojrzenie na świat. Żeby zrozumieć sens tej odpowiedzi, trzeba uprzytomnić sobie zasady djetetyki duchowej, którą Nietzsche wyznawał. Wielką jego oryginalnością i niewątpliwą zasługą było, że ten wyrosły w atmosferze pastorskiej pobożności i mętnego pokantowskiego idealizmu, profesor uniwersytetu — tak stanowczo zwrócił się do eksperymentu, do empirji. Nie zdajemy sobie dziś należycie sprawy, jak kolosalnego Nietzsche dokonał wyłomu w przyjętem uroczystym *régime* niemieckiego filozoficznego myślenia (uwzględnwszy nawet reakcję antyracjonalistyczną Schopenhauera i ruch psychologizacyjny) — stawiając sprawę zbudowania etyki na podstawach eksperymentalnych, pojętych w dodatku bardzo szeroko, w duchu francuskiego esseizmu.

Nie mogę tu rozwodzić się nad rysami szczegółowemi djetetyki nietzscheańskiej. Dla naszego celu wystarczy przypomnieć jej zdobycz zasadniczą. Zawiera się ona w zdaniu: współczucie odbiera moc działania. „*Das Mitleiden steht im Gegensatz zu den tonischen Affekten, welche die Energie des Lebensgefühls erhöhen: es wirkt depressiv. Man verliert Kraft, wenn man mitleidet. Durch das mitleiden vermehrt und versichfältigt sich die Einbusse an Kraft noch, die an sich schon das Leiden dem Leben bringt.*”<sup>2)</sup> Oto słowa Nietzsche’go. Rzeczywista krytyka nietzscheizmu byłaby przede wszystkim krytyką tego zdania. Krytyka ta, tak sobie wyobrażam, miałaby do rozstrzygnięcia następujące pytania: czy prawdą jest, że współczucie zabija moc działania i sprzyja rozwojowi pasywności, ewentualnie w jakiej mierze jest prawdą. Czy, jeżeli jest prawdą, względ na destrukcyjne z punktu widzenia czynu działanie współczucia może być powodem dostatecznym do odrzucenia etyki współczucia, jeżeli zaś nie, to jakie inne kryterja można i należy proponowanemu przeciwstawić. Rzecz prosta, sformułowania są schematyczne i podałem je tylko dla wyraźnego wskazania kierunku badań, mojem zdaniem jedynie w tym wypadku właściwego. Innemi słowy trzeba zbadać, jaka jest wartość eksperymentu nietzscheańskiego i na jaki rozciąga się on zakres faktów. Krytyka, która tego badania nie podejmuje, która natomiast przeciwstawia formułom nietzscheańskim formuły swoje, wynikię z innego, najczęściej nieuświadomionego typu doświadczenia, którego nie określa i nie wymienia nawet — będzie z konieczności błędzeniem po manowcach.

Wróćmy jeszcze na chwilę do owego „prostego spojrzenia na świat“, o czem była już mowa. Będzie to potrzebne do zrozumienia dalszych konsekwencyj błędu zasadniczego krytyki wrogiej Nietzsche’mu. Czem jest to spojrzenie, nie trudno uprzytomnić sobie, przywołując na pamięć tę tak starą i wciąż przez filozofów powtarzaną myśl, że nie śmierć jest straszna, lecz to co o niej myślimy, dekoracje, któremi ją ubieramy.

Marek Aureljusz i Epiktet uogólniali wyrażone w tej myśli stanowisko, mówiąc, że rzeczy są straszne i złe nie same przez się, lecz przez to, co o nich myślimy. Należy oczyścić umysł od sugestyj, myśli, wybiegających poza rzeczywistość daną bezpośrednio, wytwarzających rzeczywistość nową z elementów naszej wyobraźni, pozostającej pod sugestją strachu. Stoicyzm więc proponuje nam taki plan działania: pokonać w sobie strach, pokonać myśli, powstałe pod sugestją strachu — wtedy ujrzemy nowy obraz świata — wierny i jasny. Obraz tego świata stoickiego nie jest jednak ściśle tym obrazem świata, który usiłował sobie stworzyć Nietzsche, choć są między nimi podobieństwa. Nietzsche, podobnie jak stoicy, uważał lęk przed cierpieniem jako zaporę przeciw jasnemu widzeniu rzeczy, jednak to, co się jego wzrokowi rysowało po zrzuceniu zasłony strachu, inne miało zgoła oblicze, niż geometrycznie pogodny świat stoików. Tem dnem życia był dla Nietzsche’go jakiś byt zimny i okrutnie pogodny. A stosunek Nietzsche’go do tego bytu nie był też stosunkiem stoików. Ideałem stoika jest rola wiecznie przytomnego i pogodnego świadka wobec dramatu życia. Nietzsche zaś nie chciał przez uwolnienie się od cierpienia zdobyć obojętności, lecz chciał to cierpienie wchłonąć i zdobyć wzrok zimny jak lód, a przenikliwy jak promień słoneczny, aby z grozą życia być w ciągłym nadludzkiem przymierzu broni. Z niczem nieporównana strzelistość tej wizji przemawia do nas najwspanialej z kart „*Ecce homo*“, szczególnie z miejsc, gdzie autor opisuje swój stan wewnętrzny podczas tworzenia „*Zaratustry*“.

Tego rodzaju wizja świata pociąga za sobą, z nie dającą się uchylić konsekwencją, specjalną metodę wypowiedzania się. Jest to drugi punkt, który nie znalazł naogół zrozumienia u krytyków Nietzsche’go i który zrodził najniedorzeczniejszy, nader rozpowszechniony i uporczywy zarzut przeciw niemu, zawierający się w zdaniu: Nietzsche nie udowodnił swoich poglądów.

Przypomnę znowu parę jego aforyzmów. „*Honnete Dinge, tragen wie honnete Menschen ihre Gründe nicht so in der Hand*“. „*Man wählt Dialektik nur, wenn man kein andres Mittel hat*“. „*Vor Sokrates lehnte man in der guten Gesellschaft die dialektischen Manieren ab: sie galten als schlechte Manieren, sie stellten bloss*“. I ten wreszcie może najcharakterystyczniejszy: „*... diese Griechen waren oberflächlich aus Tiefe*“. Już samo odczytanie tych zdań mówi nam wyraźnie, że zagadnienie metody interesowało Nietzsche’go, że zajmował w stosunku do tego zagadnienia stanowisko bardzo wyraźne. Że stanowiska tego nie „pogłębił“, nie „udowodnił“, trudno do Nietzsche’go mieć pretensje, skoro było to właśnie stanowisko anty-dialektyczne. Zgodnie z niem wszystko, a więc i zagadnienie metody powinno być zademonstrowane tylko przez pokazanie pewnych faktów — w tem zaś rozumieniu dostarczył Nietzsche dowodów bardzo wielu. Aby rozumieć, na czem polega oryginalność tego stanowiska, trzeba znowu uprzytomnić sobie to, że Nietzsche nie opuszczał nigdy gruntu eksperymentalnego, że z tego gruntu zawsze przemawiał. To samo w stosunku do metody dialektycznej. Pytanie: jaka jest wartość metody dialektycznej — znaczyło u Nietzsche’go: jakiego rodzaju pobudki skłaniają człowieka do używania dialektyki? Jaki jest psychologiczny obraz człowieka, dowodzącego dialektycznie? I na te pytania odpowiada Nietzsche obserwacjami. W studjum „*Das Problem des Sokrates*“ zebrał ich najwięcej chyba. Wszystkie one sprowadzają się do tego, że dialektyka, przekonywanie, dowodzenie — są symptomatami bezsilności. Człowiek silny, człowiek mający

<sup>2)</sup> *Antichrist*, 7.

żywe poczucie celu, do którego zmierza, nie dowodzi, lecz rozkazuje. Logika rozkazu nie polega na dowodności dialektycznej, lecz na swoistej dynamice woli, wywołującej skutki w świecie ludzkim. Aby osiągnąć nietscheańską wizję świata — trzeba być mocnym — a dialektyk jest człowiekiem słabym. Te obserwacje Nietzschego mogą i powinny być dyskutowane. Rozprawić się z nim można, sprawdzając, czy są prawdziwe, czy fałszywe, lub w jakim zakresie są prawdziwe. A gdyby okazało się, że są prawdziwe, czy jednak ich prawdziwość jest wystarczającym dowodem przeciw metodzie dialektycznej. Takie postawienie sprawy byłoby istotnie policzeniem się ze stanowiskiem Nietzsche'go, nie jest niem jednak zarzut, że Nietzsche dialektycznie swego stanowiska nie bronił, skoro wiemy, że postępował tak na pewnych podstawach eksperymentalnych, których to podstaw nie kontrolujemy.

Jeżeli Nietzsche uważał metodę dialektyczną za symptomat słabości, ideałem zaś jego był człowiek silny, nie wyda się nikomu dziwnym, że sam od tej metody stronił. Nietzsche nigdy nikogo nie przekonywał i szczyił się tem, za godnych siebie uczniów uważał tylko tych, którzy się od niego odwracają, aby znaleźć siebie (*Ecce homo*). Z narastającymi falami impetu rzucał na papier wizje tego świata siły i zimnej słoneczności, który tak ukochał i którego obrazem chciał zmiażdżyć świat „nadziei“, „miłości“, „nieśmiertelności“. W pewnych wypadkach apodyktyczność twierdzeń Nietzsche'go była istotnie rewelacyjna. Rekordowe pod względem antydialektyzmu jest np. takie mimochodem rzucone zdanie: „...denn es giebt keine Seele“. Ani słowa więcej. Ale lakonizm ten jest ogromnie suggestywny, przemawia do prostego poczucia rzeczywistości, mówi jakgdyby: „pomyśl spokojnie o sobie, spójrz na twego bliźniego—gdzież jest ta „dusza“? Argument ten jest mocny przez swą „głosowność“. Znowu apelacja do zmysłu obserwacyjnego czytelnika. I znowu jedynym wyjściem dla przeciwnika; zaatakować samą tę obserwację. Albo te wyrażanie: „...oberflächlich aus Tiefe“, jakie jego znaczenie? A oto ono: trudniej jest być „powierzchnowym“ niż „głębokim“; człowiek „głęboki“, to człowiek nieumiejący się już dobyć z pod tego zamulenia myśli, które wciąż narastając, coraz dalej, jakby falą odrzuca go od prostego spojrzenia na rzeczy. Człowiek „głęboki“ kończy ślepotą, nie widzi już świata, który jest przed nim. „Powierzchnowy“ jest prostak, człowiek, który nie myślał nigdy. Ale powierzchownym staje się człowiek „głęboki“, nie wyzwolony z pod sztucznego narostu tej patetycznej a fikcyjnej wizji świata, która się tworzy w podziemiach ducha, odwróconego od słońca. Gdy się z mocy tej wizji wyrwał, widzi dopiero świat w pełnym świetle, świat w całej jego złożoności (czego nie ma prostak) a zarazem świat wolny od dusznych zwidzeń „głębiniowca“—świat ten można zdobyć wielkim wysiłkiem ducha — ale nie dialektyką; trzeba przestać być dialektykiem, aby stać się zdobywcą. Widać tu wyraźnie związek między etyką a metodyką Nietzsche'go.

Wszystkie te przykłady przytoczyłem tu, aby podkreślić, jak dalece przeoczenie eksperymentalnego gruntu filozofii nietscheańskiej wypaczyło jej obraz i jak bardzo potrzebna jest reakcja psychologiczna w badaniach nad filozofją Nietzsche'go.

Być może w oświetleniu uwag powyższych nie wyda się czytelnikowi paradoksem, jeżeli powiem, że utarta opinia o Nietzsche'm jako o wrogu chrześcijaństwa jest w znacznej mierze oparta na nieporozumieniu.

Na obronę popularnej tezy o wrogim do chrześcijaństwa stosunku Nietzsche'go służyć mogą znakomicie teksty, przedewszystkiem zaś „Antychryst“. Trudnoby istotnie znaleźć zuchwalszy paszkwil na chrześcijaństwo i Chrystusa. Ataki Voltaire'a wydają się w porównaniu z „Antychrystem“ sztubackim przekomarzaniem.

Ale cóż dzieliło Nietzsche'go od chrześcijaństwa? Przekonanie, że jest ono religją słabości. Wolno tu zauważyć, że Nietzsche był synem pastora, że to chrześcijaństwo, które miał przed oczyma, było to sentymentalne chrześcijaństwo niemieckiej rodziny protestanckiej. O innych formach chrześcijaństwa, przedewszystkiem zaś o katolicyzmie wiedział Nietzsche z książek — miał zaś stale przed oczyma protestantyzm i obraz psychologiczny znieawidzonego chrześcijaństwa zbudował sobie niewątpliwie na tych wzorach doświadczenia codziennego. Chrześcijaństwo ze zredukowanym do *minimum* systemem sakramentalnym, apelujące wciąż do „ducha“, „natchnienia“, „porywu“—musiało wzbudzać w Nietzsche'm uczucie najwyższej niechęci, — było ono przeciwieństwem tego świata mocy, którego obraz miał ciągle przed oczyma. Już samo zetknięcie się z religją o wyrobionym systemie sakramentalnym, utwalonym tradycją i niezwykle zwartym formalnie, ogniskującym w sobie wieków doświadczeniem zdobyte postawy człowieka wobec Boga — miałyby niewątpliwie wpływ decydujący na stosunek Nietzsche'go do katolicyzmu. Właśnie formalizm katolicki i tkwiące w nim poczucie potrzeby dyscyplinowania form życia duchowego, rezerwa w stosunku do sentymentalizmu religijnego, mocny instynkt polityczny—mógłby, gdyby Nietzsche zetknął się bliżej ze światem katolickim, wyrzucić decydujący wpływ na jego filozofję. Te punkty styczności między nauką a praktyką katolicką, nie uszły uwagi przenikliwego Chestertona. W swej „ortodoksji“ z ogromną trafnością uwypukla on te zbieżności, podkreślając jednocześnie tragiczności pustki, która rozwiera się przed nietscheanizmem.

Czytając Nietzsche'go nie trzeba nigdy zapominać o tem, że filozofja jego była przedewszystkiem systemem samoobrony. Człowiek, którego rozbrajało współczucie — budował przeciw niemu warownię. Zabezpieczał się na odcinku najbardziej zagrożonym. I zbyt wiele sił ściągnął z całego frontu na ten odcinek, aby nie przegrać bitwy. Wygrywał wspaniałe potyczki — ale w ferworze bojowym nie widział, co się dzieje o sto kroków od niego. Zbyt przejęty myślą o obronie, nie zastanawiał się nad tem, czy nie należało zawrzeć przymierza z wrogiem, którego groźne ciosy się sparowało. Nie pomyślał, że miłość bliźniego ugruntowana w duszach mocnych, jest trudniejsza od nad człowieczeństwa a przeto—wyższa od niego.

To, co pozostanie trwałą zdobyczą nietscheanizmu, wyrazić można w tem prostem zdaniu, że stawianie czoła wszelkiej postaci słabości, w skali najszerszej: od bólu fizycznego do złożonych przeżyć pesymizmu filozoficznego — będzie zawsze stanowiskiem godniejszym i bardziej ludzkim, niż uznanie jej za prawo najwyższe życia, gdyby nawet na usprawiedliwienie tej kapitulacji sięgnąć po patos filozofów Upaniszad. — I tę to właśnie myśl istotną nietscheanizmu, myśl najgłębiej ludzką zagrzebała w kurzawie frazesów leniwym, krzywym truchcikiem drepcąca legenda o Nietzsche'm — twórcy *der Junkermoral*.

## STANISŁAW NOAKOWSKI

**W** NAJBANALNIEJSZEJ dzielnicy Warszawy, przy jednej z ulic, które od siebie odróżniają się głównie nazwami, w gmachu bezstylowym (będącym szkołą architektury) zmarł 1 października b. r. jeden z najniepospolitszych ludzi i najbardziej rasowych artystów: Stanisław Noakowski. Urodził się w Nieszawie, niebardzo podłem mieście w r. 1867, jako syn tamecznego rejenta, na plebanji, w cieniu ceglanego, zczerniałego kościoła, stawianego przez Jagiełłę pod wezwaniem świętej Jadwigi. Jest to — jak potem pisał w przedmowie do jednej ze swych tek — „budowla przysadzista, z wielkimi szkarpami, przez wieki pokieroszowana... z białymi barokowymi szczytami i kapliczkami, drewnianą, wówczas na czarno wymalowaną szopą na karawan, z przepięknym, bogato rzeźbionym, a całym srebrzystym ołtarzem wielkim i wspaniałymi stallami gdańskiej snycerskiej roboty, arcydziełem jedynym w swoim rodzaju na ziemiach naszych“.

Kościół nieszawski był pierwszym objawieniem sztuki, które z Noakowskiego uczyniło poetę architektury.

Drugim była katedra wrocławska z nagrobkiem Stwoszewskim, niezeszpecona jeszcze wówczas odnowieniem. We Wrocławku bowiem chodził do szkoły realnej. Skończywszy ją, wstąpił do Akademii Sztuk Pięknych w Petersburgu, skąd jako stypendysta wysłany był na kilka lat do Francji. Zwiedziwszy następnie Niemcy i Włochy wrócił do kraju, poznawszy zaś w długich wędrówkach całą Polskę, przedeptawszy ją ze szkicownikami wzdłuż i wszerz, stał się wyrazicielem najznakomitszym piękna, utajonego w kształtach jej budowli.

„Polskość najczystsza — pisał później — skupia się przecie w architekturze polskiej. Jeżeli bowiem matka natura stworzyła wspaniałe, najrozmaitsze ramy, wśród których żyją ludy — góry, rzeki, pola, lasy, morza — to człowiek pejzaż swój rodzimy przybrał w szatę architektoniczną, na jaką klimat i budulec mu pozwoliły, zwyczaj, religja, historia ukształtowały, a własne poczucie piękna stworzyć dopomogło.

...przybrała się Polska nasza we własne szaty, przez dzieci jej w ciągu tysiącletniego z górą bytu historycznego stworzone, a idealnie dopasowane do potrzeb materialnych i duchowych życia polskiego. Inne ludy mają inną swoją architekturę, może bogatszą, może piękniejszą, może ciekawszą, ale dla nas jednak obcą, nie tak wymowną i zrozumiałą, bo z innej nie z polskiej duszy wysnuta.

...W istocie w architekturze naszej, poczynając od najskromniejszych do zamożnych zagrod wieśniaczych słomą pocziwą lub dachówką krytych, ze stodółką i stajenką — do dworców i dworów ziemiańskich, w obudowie miasteczek, miast i stolic naszych ...nie mówiąc już o niezliczonych, a tak wdzięcznych i miłych kościołach, kościółkach naszych drewnianych lub murowanych, wreszcie w figurach i krzyżach przydrożnych, które lud polski tak obficie i pięknie oblicze poważne a dobrotliwe, niby Częstochowskiej Matki swej, Polski, upiększył — skupione są skarby preczyste duszy polskiej...“

Każdy z rysunków Noakowskiego, każda z jego akwarel przepojona jest temi samymi tajemnicami i tem samem uczuciem, które wypowiedział w słowach wyżej przytoczonych. Rysunkami jednak i akwarelami tłumaczył się jeszcze wymowniej i pełniej, niż słowem pisanem. Im zaś rysunek czy obrazek był skromniejszy, im mniej kresek czy plam artysta kładł na papier, tem głębiej wzruszał i przekonywał widza. Ulubiona forma twórczości Noakowskiego — to fantastyczne szkice,

w których artysta przedstawiał budowle nieistniejące, a przecież prawdziwsze od rzeczywistych. Prawdziwsze dlatego, że dające czystą syntezę ideową, pozbawioną elementu kompromisowości, który cechuje każde urzeczywistnienie.

Przez lat piętnaście był w Moskwie profesorem Strogonowskiej szkoły rysunkowej, kustoszem muzeum Strogonowa, wreszcie profesorem szkoły sztuk pięknych. Tworzył wśród obcych szkice rekonstrukcyjne wnętrza Wawelu, przywracał na papierze zygmuntofską i stanisławowską świetność zamkowi warszawskiemu, słowem podobnie, jak niegdyś „nasz malarz Orłowski“ kultywował starannie swój „gust soplicowski“... Miał zaś tak mocne odczucie narodowości w architekturze, że poruszając tematy rosyjskie moskalom samym otwierał oczy na piękno ich rodzimego budownictwa. Wywarł też znaczny wpływ na współczesną sztukę rosyjską<sup>1)</sup>.

Do Polski wrócił w 1917, obejmując stanowisko profesora Politechniki i profesora historii sztuki w Warszawskiej Szkole Sztuk Pięknych. Wspaniała wystawa jego prac w Klubie Artystycznym w Hotelu Polonia objawiła Polsce genialność Noakowskiego, genialność, pokrewną humanizmem i historycznymi źródłami natchnień bliżej genjuszom Sienkiewiczów, Matejków i Wyspiańskich, niż Chełmońskich, Stanisławskich, Reymontów i Kasprońskich, poetów przyrody polskiej i człowieka, jako jej tworu.

Ostatnie dziesięciolecie życia Noakowskiego było bardzo płodne. Wydał kilka tek fantazji i szkiców architektonicznych, z których ostatnią („Zamki i Pałace polskie“) w roku bieżącym. Jako prelegent i wykładowca nie miał Noakowski sobie równego. Umiał na poczekaniu ilustrować wykłady swoje kredą na tablicy w sposób nie tylko mistrzowski ale natchniony. Słuchaczy i uczniów czarował, to też kochali się oni zarówno w jego indywidualności, jak w jego sztuce.

3 października, ciemnym już wieczorem opuścił nazawsze gmach szkolny przy ul. Koszykowej. Opuścił go w dużej i bardzo ciężkiej trumnie, dźwiganej przez młodzież akademicką. Deszcz mżył. Zapalano światła. Ulice zabudowane bezduszną tandetą, wyskrzone reklamami elektrycznymi, osnute pajęczyną drutów tramwajowych — wyglądały brzydziej, niż kiedykolwiek. Automobile, przystając, aby przepuścić pochód żałobny, wytrzeszczały latarnie ze zdziwieniem. Przechodnie, obnażając głowy przed trumną domyślali się, że musiał umrzeć ktoś wielki, skoro go młodzież dźwiga na barkach jak triumfatora.

Ci zaś, co byli świadomi jego wielkości, patrzyli na tę młodzież z nadzieją, iż w stawianych przez jego uczniów budowlach Polski jutrzejszej, objawią się przez niego widziane i rozumiane „skarby preczyste duszy polskiej“.

R. G.

<sup>1)</sup> O znaczeniu Noakowskiego dla Rosji por. piękną książkę: P. Ettinger „Stanisław Noakowski, opyt charakteristiki“, izdatielstwo „Swietlana“ Moskwa 1922.

## LIBERUM VETO

Jasna latarnia.—Wyścig pracy administracyjnej.—Jak ona wygląda u nas.—Przebrane bitwy bez broni.—Upraszczenie zagadnień.—Poczta niemiecka.—Znowu reforma szkolna.—Podręczniki szkolne.

CZYTELNICY gazet, spożywający rano i wieczorem obfite porcje opisów morderstw, kradzieży, oszustw, walk ciężkiej i lekkiej altetyki, z rozmaitych popisów rąk i nóg, wywiadów politycznych i innych chciałem powiedzieć: głupstw, a należy powiedzieć: „incydentów, sensacyj i aktualności“, ani się domyślają, ile odnieśliby pożytku i doznali przyjemności, czytając „Przegląd naukowej organizacji“. Zapewniam z doświadczenia osobistego. Jest to dla mnie rezerwoar napełniony tlenem. Gdy codziennie duszę się w wyziewach padliny moralnej, szeroko rozłożonych śmietników bezmyślnej frazeologii i tego straszego smrodu, jaki rozszerzają wokół siebie obżarci, pijani i rozbawieni najemnicy przy budowie a raczej przy „rozbudowie“ państwa, przychodzi ten mądry i uczciwy miesięcznik i daje mi do oddechu strugę świeżego, orzeźwiającego powietrza. Najdokuczliwszą zgorą, tłoczącą pierś Polaka, jest obecnie ta straszna myśl, że my nie zdolamy utrzymać przy życiu niepodległej Polski, zagrożonej nie tylko zbroją sąsiednich wrogów, ale ich płodną twórczością i pracą. Nie tylko społeczeństwo, ale nawet jego przewodnicy i oświeciciele ciągle jeszcze niedość wiedzą, skąd właściwie grozi nam największe niebezpieczeństwo. Czujnie śledzą i skwapliwie ogłaszają wiadomości o każdym pomnożeniu wojska niemieckiego, o każdym nowym wynalazku w dziedzinie broni lub gazów trujących, o pogróżkach wojennych lada wiecznego krzykacza lub pismaka prowincjonalnej gazetki, ale co się dzieje w niemieckich fabrykach, warsztatach, gospodarstwach, biurach, o tem nasi kronikarze dziennikarscy albo nie wiedzą, albo dowiadywać się nie chcą. To są nowiny do druku na ostatnich stronicach prasy. Tymczasem właśnie tam kryje się najgroźniejsza siła i w tę stronę zwrócić się powinna nasza główna uwaga. Systematycznie, umiejętnie i przekonująco zwraca ją w tę stronę „Przegląd naukowej organizacji“.

W ostatnim numerze inż. S. Twardo pisze o „Wyścigu pracy w dziedzinie pracy administracyjnej“. Autor rozjaśnia przedmiot z wielką ścisłością naukową, wykazując, z jakich pierwiastków się składa i jakich warunków wymaga dla osiągnięcia pożądanego wyników. Wszyscy wiemy, ile utrapień sprawiają interesantom nasze urzędy administracyjne krępującą ich działalność formalistyką, zwichrzone niezliczonymi i często sprzecznymi okólnikami, sparaliżowane niedbalstwem lub nieudolnością pracowników. Widziałem sam starania o urządzenie osobowego przystanku kolejowego, które trwały dwa lata i jego boczniczy da wagonów towarowych, które trwały trzy lata; widziałem budowę kilkupokojowego domku w majątku państwowym, do której przygotowania trwały dwa lata, a nadzór nad wykonaniem robót sprawowała komisja złożona z delegatów trzech ministerjów, oprócz kilku kontroli dla każdego z tych przedsięwzięć. Niemcy potrzebowaliby paru tygodni i jednego kierownika. Łatwo wyobrazić sobie, ile to szkód i umęczeń w takim załatwianiu spraw znieść muszą interesanci, ile strat ponosi cały naród i jak dalece on staje się słabszym w stosunku do swych sąsiadów i wrogów, którzy działają energicznie i szybko, osiągając olbrzymie przewagi nad nami. Jest to szereg przegranych przez nas niezbrojonych a rozstrzygających bitew, które prędzej czy

później muszą doprowadzić do podboju bez armat, karabinów, samolotów i gazów trujących. „Od dobrej sprawności mechanizmu administracji — powiada inż. Twardo — zależy rozmach życia i potęgi państwa, zależy wyścig pracy w rozmaitych dziedzinach rozwoju mocarstwowego oraz prędkość przekształceń na drodze postępu całej społeczności. Wszystko, co nie ułatwia, wstrzymuje“.

Znamienną cechą umysłów płytkich jest upraszczenie wszelkich zagadnień, usuwające z nich trudności rozwiązania. Co zrobić z krnąbrnym i głupim dzieckiem? Karać. Co zrobić z przygodnym przestępcą? Wsadzić go do więzienia. Jak usunąć niedobór w budżecie kolei lub poczty? Podnieść taryfy. Oto są łatwe rozwiązania zagadnień uproszczonych. Są one typowe w naszej administracji. I oto zabiera głos w „Przeglądzie“ p. S. Punicki, który na przykładzie wykazuje niedorzeczność i szkodliwość takiej metody. Przedstawia ustrój, działalność, korzyści społeczne i wyniki finansowe poczty niemieckiej. Tam reformatorzy poszli do celu najlepszą drogą. Przedewszystkiem zbadali organizację poczty od dołu, czynności najniższych i usuwając zbyteczne, wprowadzając racjonalne, posuwali się ku górze. Następnie zbadano zdolności urzędników, unormowano środki biurowe (format papieru itd.), wprowadzono kartoteki zamiast ksiąg i pisanie na maszynach metodą „ślepią“ (dziesięcioma palcami), zmieniono system archiwalny i rozkład pomieszczeń, zapobiegający próżnowaniu urzędników za okienkami; ułatwiono publiczności ekspedycję, wreszcie obniżono taryfy. „Ten kierunek racjonalizacji poczty — mówi autor — jest niewątpliwie najważniejszy dla życia gospodarczego. Drożyzna taryf tamuje jego rozwój, utrudnia wymianę korespondencji i towarów, ścieśnia rynek wewnętrzny, podraża towary... Ostatnia podwyżka taryfy pocztowej w Polsce jest za wysoka, zatem szkodliwa dla gospodarstwa narodowego a więc przedewszystkiem dla państwa“. Że tak jest, świadczy dowodnie wynik finansowy poczty niemieckiej. Mimo znacznej redukcji taryf w r. 1926 nadwyżka dochodów wynosiła 55.784.264 marek w nowych urządzeniach (inwestycyjnych) i 70.000.000 w czystym dochodzie przelany do kasy państwa, czyli razem 125.784.246 m. W r. 1927 ta nadwyżka przekroczyła 200 milionów. Dołączywszy do niej wzmocnienie tętna życia gospodarczego otrzymujemy dowód, druzgocący całe rusztowanie naszej deklamacji urzędowej o konieczności podrożeń taryf i oświetlający nasze niedołęstwo, ciemnotę i partactwa administracyjne, a wreszcie naszą słabość kulturalną i od niej zależną słabość polityczną wobec państwa, które jest naszym najgroźniejszym wrogiem. Nie wiem, czy nasi ministrowie czytają wydawnictwa naukowej organizacji, ale sądzę, że należałoby w ich nominacjach umieszczać ten obowiązek, jako jeden z warunków „paktów konwentów“. Nie zastąpią go ani „rugi“ i „przegrupowywania“ urzędników, ani oblekanie w szaty dygnitarские faworytów i sanatorów. Niepokonane w swej potędze życie zmiążdży te kruche figury i połamie sztuczne ustroje. Ono bowiem jest jedynym prawdziwym mocarzem i dyktatorem. Kto z niem walczy, pozostanie karłem, chociażby włożył na najwyższe szczytła i wznosił się pod obłoki w balonie wydętym próżnością i samochwalstwem. Wąż morski, zwany reformą programów szkolnych, znowu wypłynął na powierzchnię martwego morza naszej biedy życiowej, jeszcze rozkołysanego po ostatnim tajfunie. Przytoczono już wszystkie powody dokonania tej reformy, pozostał chyba jeszcze tylko wstyd przed światem, że po dziesięciu latach

też odzyskania niepodległości nie zdobyliśmy się na jakiś stały system wychowania publicznego, od którego przecie zależy zdrowie, siła i przyszłość narodu. Te pokolenie młodzieży, które mają się zająć utrwaleniem bytu i rozwinięciem kultury Polski we wszystkich kierunkach, są dziś w szkole ofiarami zamętu i męczennikami scholastyki. Co rok, jeśli nie wcześniej, w głowach improwizowanej pedagogii wylęgają się nowe podręczniki, obliczone jedynie na dochód ich autorów, którzy zmuszają uczniów i uczennice do nabywania tych fabrykatów. Zmieniają się ciągle wykłady historii, matematyki, nauk przyrodniczych, języków. Książka w tym roku nabyta, w przyszłym traci wartość, bo w nowym podręczniku historii usunięci są zupełnie lub na dalszy plan inni królowie, w podręczniku gramatyki inne znaczenie nadano częściom mowy, w podręczniku arytmetyki skombinowano inne, bardziej zawile zadania i t. d. Przeważnie zaś chodzi w nich o utrudnienie nauki. Biorę trafem wybrany przykład. W zbiorze zadań na cztery działania arytmetyczne znajduje się między innymi takie: „Ojciec jest 7 razy starszy od syna a wuj 5 razy starszy od tegoż chłopca. Ile lat ma chłopiec, jeżeli wuj i ojciec mają razem 60 lat“. Czy od czasu istnienia ludzkości zdarzył się w jej życiu wypadek, który wymagałby takiego obliczenia? A jednak ma je u nas rozwiązać dziecko 10—11-letnie. Podobnych przykładów można wydobyć z naszej literatury podręcznikowej setki. I na co one? Czy po to, ażeby utrudnić i opóźnić oświatę społeczeństwa, którego połowa jeszcze nie umie czytać?

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

## G Ł O S Y

### Z DZIEJÓW ZBRODNI

**D**ZIEWIEĆ lat upłynęło od tragicznej śmierci śp. Marjana i Józefa Lutostawskich.

W dniu 9 września 1918 r. „Przegląd Wieczorny“ w Warszawie ogłosił telegram z Moskwy Al. Lednickiego („komisarza polskiego dla spraw zagranicznych“) tej treści: „Wielu obywateli polskich rozstrzelano. Rozstrzelani między innymi bracia Lutostawscy. W Wiatce pozbawiony został życia Jarmułowicz“.

Pan komisarz Lednicki, telegrafując w 5 dni po fakcie, położył nacisk na masowość mordu: „między innymi“ zabito Lutostawskich. Ale potrafił wymienić poza nimi tylko kogoś jednego i to w Wiatce. Łagodziło to niejako tragedję Lutostawskich i odpowiedzialność polskiego przedstawicielstwa, które do tego dopuściło.

Do Kijowa wiadomość ta doszła przez Warszawę. Nie dawano jej zrazu wiary. „Przegląd Polski“ (z 12 września) pisak:

„Straszne porachunki jakiejś bezimiennnej polityki odbywają się pod pokrywką wielkich haśle. Bandyci i mafje grasują w ogniach pożaru światowego, wysługując się siłom ukrytym“.

Fakt sam należy skonkretyzować. Nie był to mord masowy Polaków, lecz wystrzelanie tych, którzy niedogodni byli międzynarodowce, prowadzącej w Rosji przewrót, a z drugiej strony propagującej pokój separatywny z Niemcami. Z pojęcia mistycznego „bolszewicy“ trzeba wydobyć konkretnych ludzi, którzy to robili.

Inicjatywa aresztowania i oskarżenia braci Lutostawskich wyszła z Komisarjatu polskiego, na któ-

rego czele stał Leszczyński (właściwie Singer). Ten sam Leszczyński na zjeździe wojskowych Polaków w Petersburgu w czerwcu 1917 był generalnym mówcą opozycji „demokratyczno-niepodległościowej“, która była prowadzona pod patronatem późniejszego reprezentanta Polski, Lednickiego, a wówczas w r. 1917 ministra do spraw polskich przy Kiereńskim. Leszczyński, Unslicht to przecież była jedna paczka polskiej „Trybuny“, idąca ręką w rękę z „Echem Polskim“ Lednickiego, „Dziennikiem Petrogradzkim“ Grossterna z dzisiejszej „Epoki“. Zwłaszcza „Echo Polskie“, bezpośrednio w Moskwie stykające się z działalnością patriotyczną Lutostawskich, stałe szczuło na nich, jako reakcjonistów. Pan Lednicki niezręcznie wtedy miał rolę jako obrońca Lutostawskich.

Padli ofiarą wrogów niepodległości polskiej bohaterscy obrońcy idei wojska polskiego. Idea ta gorliwie była zwalczana w czerwcu 1917 przez Lednickiego i Leszczyńskiego i jeszcze we wrześniu 1918, jak wiemy z listu do Lerchenfelda, tropiona była przez Lednickiego nawet na Murmanie.

Bracia Lutostawscy aresztowani byli na wiosnę 1918 w związku ze skasowaniem przez władze sowieckie w Moskwie pułku im. Bartosza Głowackiego. Razem z nimi aresztowano dowódcę, płk. Kazimierza Majewskiego. Pułk był formowany z rozbitków różnych formacji polskich i żołnierzy polaków byłej armii rosyjskiej. Przerwana była wówczas komunikacja Moskwy zarówno z pierwszym korpusem polskim w okolicach Mińska, jak i z drugim, który stał na Ukrainie. Nie znaleziono podczas rewizji w koszarach ani broni, ani żadnych kompromitujących dokumentów.

Nikt też nie mógł zrozumieć, dla czegooby rosjanie, którzy na początku rewolucji życzyli Polakom niepodległości, mieli mordować tych właśnie Polaków patriotów, którzy przytem przestrzegali zasady niemieszania się Polaków do walk wewnętrznych w Rosji. Komisarjat polski Leszczyńskiego działał tutaj jako wykonawca mafji międzynarodowej.

### WRAŻENIA Z WIELKOPOLSKI

**P**OLAK z innej dzielnicy, zwiedzający były zabór pruski, doznaje wrażeń bardzo różnorodnych, niekiedy w zabarwieniu uczuciowem sprzecznych. Imponuje mu ład, cieszy dobrobyt mieszkańców; interesują, czasem zachwycają zabytki i pamiątki, ten i ów szczegół razi i sprawia przykrość, trochę śmieszy, trochę irytuje. Rażą i irytują naleciałości, pozostałe jeszcze po *kulturtraegerach* w obyczaju, w języku — razi skażenie smaku: pierzyny w hotelikach, „przewrotna“ kawa, towary „krótkie“ (*Kurzwaren*), malowane „marmury“ w małomiasteczkowej cukierce, gdzieniegdzie ohydnie „secesyjna“ kamienica i t. p. Niewątpliwie, Prusacy niejedną rzecz zrobili tu solidnie — ale pozostawili też dużo tandety, mającej udawać solidność, ba, nawet przepych, i bardzo dużo brzydoty specyficznie berlińskiej. Przy całej potędze materialnej Prus przedwojennych, panoszących się na tych ziemiach pra-polskich, uderzająco płytka była duchowa kultura tych przybyszów i dorobkiewiczów. Przykładem choćby zamek w Poznaniu, tak bardzo niestety solidnie zbudowany, że nie zdobędziemy się chyba na zrobienie z nim tego, co z moskiewskim soborem na Placu Saskim. Wiem, że wielu poznańczykom Zamek się podoba; ale jabym bez wahania zburzył ten kolosalny pomnik megalomanji i złego smaku. Prusacy mogli przytłaczać ogromem gmachów, imponować gładkością dróg i do-

godnością nowoczesnych urzędzeń; ale nie potrafili wzniesić w miastach wielkopolskich nic naprawdę pięknego, nic takiego, co nie byłoby zgrzytem, co nie stanowiłoby rażącej plamy na tle może szarych i czasem niepozornych, ale dostojnych murów z dawnych czasów polskich. Choć uboższe, one są szarmonizowane z ziemią i z duszą jej rdzennych mieszkańców, bo są owocem kultury odwiecznej na tej ziemi, bo dobrą i złą dolę dzieliły z odłamek narodu, od wieków tu osiadłego.

Ale Prusy minęły na tej ziemi, minęły jak zły, ciężki sen. Polska buduje tu i tworzy znowu — i to budowanie jest piękne naogół, jest godne Polski. Można więc zapomnieć już o tem, co szczęśliwie minęło i cieszyć się z całego serca nowem życiem, gdyby — prócz murów i różnych szpetnych, *made in Germany*, fragmentów i szczegółików, nie psuli czasem nastroju także — ludzie. Pospieszmy dodać, że tylko starsi. Dzieciaki, które wszędzie widuje się chmarami (brawo, starsi!), są inne: miłe i radosne; młodzież, żywiłowo garnąca się do sportów, także już inna. Ale w tych przedwojennych pozostała jeszcze jakaś ponurość i kanciastość, błakają się koło nich niekiedy jakieś echa pruskich koszar — i tu może tkwi wyjaśnienie tego uczucia „obcości“, jakie odczuwa w Wielkopolsce Polak z innej dzielnicy. U wielu, uczucie to jest nader żywe — proszę np. przeczytać feljetonik P. Chojnowskiego, niedawno drukowany w „Tygodniku Ilustrowanym“. Ja byłem o tyle szczęśliwszy, że choć odrazu tę obcość odczułem, potem miałem sposobność doszczętnie to odczucie zatracić, wyrównać, zastąpić je uczuciem najsympatyczniejszej swojskości. Tę metamorfozę postawy uczuciowej zawdzięczam poprostu temu, że zdarzyło mi się poznać w Gnieźnie pewien dom przeznaczony, po staropolsku gościnnie i serdecznie, a czysto wielkopolski. Wogóle zaś wydaje mi się, że te rażące nieraz cechy Wielkopolan, to tak jak ta osławiona „katowicka“ architektura: to tylko powierzchowne naleciałości. W każdym niemal z tych szorstkich, mrukliwych naogół, przy kieliszku i kuflu nieco zbyt hałaśliwych panów okazałej tuszy, z nieodstępnem cygarem, nietrudno odkryć dzielne, uczciwe, prawdziwie polskie serce. Jeszcze łatwiej zapewne w paniach i pannach, które wydały mi się tym razem (nie byłem w Poznaniu od roku 1920) znacznie ładniejsze, weselsze i stanowczo zgrabniej obute i lepiej ubrane. Prawdopodobnie wtedy było jeszcze dużo Niemek.

Prócz Poznania i Bydgoszczy (która zdumiewająco szybko się odbromberzczyła i szczyli się nowoczesną dzielnicą ozdobioną pomnikami Sienkiewicza), prócz Gniezna i Kruszwicy z Mysią Wieżą, widziałem teraz i przemierzyłem krokami wiele miasteczek, często rozłożonych malowniczo nad jeziorami, i wsi wielkopolskich, rzadziej odwiedzanych przez turystów. Byłem w Wierzenicy na mogile autora „Ojczyzny“ i na wiejskim cmentarzyku w Górze, niedaleko Inowrocławia, gdzie pochowano Stanisława Przybyszewskiego. Byłem w pobliskim Łojewie, gdzie upłynęły jego lata dziecięce i w Szymborzu, miejscu urodzenia Kasprowicza. Niema już tam domu rodziców wielkiego poety, ale stoi we wsi nowa, piękna szkoła powszechna jego imienia. Staruszka — zebraczka opowiadała mi, jak odwiedzał raz swą wioskę rodzinną, gdy „jeszcze był kawalerem“. Widziałem olbrzymią wiąź w Szamotułach przed kościołem farnym i wspinał się dęby w Rogalinie. Zwiedzałem tam galerję Raczyńskich (z matejkowską „Dziwicią Orleańską“) i szczegółowo oglądałem zbiory kórnickie, zgromadzone przez czcigodnych Działyńskich i Za-

mojskich. W Mogilnie pokłoniłem się cieleckiemu księdza patrona Wawrzyniaka, w Dalkach (pod Gniezmem) zwiedziłem Uniwersytet Ludowy. z którego dzielny ksiądz Ludwiczak może być dumny. Będąc w Obornikach, nie zapomniałem odwiedzić Objezierza Turnów, których dwór miał szczęście gościć w roku 1831 Mickiewicza. Zajrzałem do nadgranicznego Międzyochodu, gdzie nasz Orzeł z rozpostartymi skrzydłami czuwa nad miastem, a napis na pomniczku woła: „Nie rzucim ziemi skąd nasz ród!“. Byłem w Lesznie, królewskim gnieździe Leszczyńskich, mieście sporem i ruchliwym. We wspaniałej Farze oglądałem grobowce biskupa Bogusława, odnowiciela tej świątyni Rafała, ojca króla Stanisława, dziada królowej Francji. Na pięknym ratuszu spostrzegłem z pietyzmem odnowione herby fundatorów i opiekunów tego miasta. Są tu dwa kościoły ewangeliczne, pomniki przedwójnej polskiej tolerancji: w czasie trzydziestoletniej wojny Leszno było schroniskiem dla emigrantów protestanckich, a Bracia Czescy mieli tu słynną szkołę, której rektorem był J. A. Komenjusz. Jego pomnik stoi przed kościołem św. Jana, jest ulica jego nazwiska, a nawet gimnazjum tutejsze jest imienia Komenjusza! Prusacy przewywali Lecznó „Lissą“, a hakatyści tutejsi wydawali polakożercze piśmidła. Ze zdumieniem zauważyłem, że na domu gminy ewangelickiej, wśród wskazań dla pobożnych parafjan, zachowało się także „*Ehret den König*“. Trudno chyba przypuścić, by Niemcy tutejsi spodziewali się w Polsce monarchji i napis ten konserwowali przez lojalizm i przywiązanie do przyszłego króla... polskiego.

Ale to są tylko mary przeszłości; terażniejszość i przyszłość są nasze! Tę przyszłość budujemy w odnowionej i wciąż się rozwijającej polskiej szkole. Z tego, co zostawił Prusak, największą wartość mają okazałe gmachy seminarjów nauczycielskich, wznieszone — jako twierdze wojującej niemszczyny — nawet w niewielkich mięscinach, jak Wągrowiec albo Rogoźno (tu były piękne tradycje: zamordowanie króla Przemysława przez brandenburskich zbirów). Ale i my budujemy — i wcale nie gorzej, czasem zaś lepiej. Widziałem np. w Trzemesznie nowy solidny budynek gimnazjum, obok pięknego kościoła po-augustjanskiego i pełnego wdzięku starego pałacyku, siedziby dawnego *Collegium*, założonego przez opata Kosmowskiego (w portalu w płaskorzeźbie wizerunek króla Stanisława Augusta okolony napisem „*Scientiarum Supremus Restaurator*“, herby Korony, Litwy i króla, nad wszystkiem Oko Opatrzności). Miasto Kościan także wybudowało sobie na gimnazjum gmach okazałych rozmiarów i t. d. Ale wszystko zaćmiewa wspaniała Rydzyna. Olbrzymi zamek Sułkowskich (okien frontu niemal tyle „ile dni w roku“!), o który (wraz z dobrami) toczył się przed wojną głośny proces, gospodarka opiekuńczego rządu pruskiego doprowadziła do stanu zupełnego opuszczenia. Sliczne rokokowe buduary zamieniono na obmierzłe cele, miejsce udreki jeńców wojennych. Park zdziczał, stylowe budynki dworskie waliły się w gruzy. I oto dziś z gruzów dźwignęło się tu polską pracą nowe, radosne życie. Rozbrzmiały sale i zamkowy dziedziniec wesółemi głosami i śmiechem w chwilach odpoczynku po pracy poważnej i skupionej. Zgodnie z wolą fundatorów pełni się zbożne dzieło, zaczęte niegdyś w Polsce przez Komisję Edukacji Narodowej. W zamku rydzynskim odnowionym z gruntu, bogato zaopatrzonem we wszelkie nowoczesne urządzenia i udoskonalenia, otwarto z początkiem nowego roku szkolnego wzorowe gimnazjum. Jest to szkoła „nowego typu“, internatowa, wskrzeszająca tradycję pierwszych Pol-

## NAUKA I LITERATURA

## Z NAJNOWSZYCH PRAC O ST. WYSPIAŃSKIM

ZDAWAŁO się, że przypadająca na rok ubiegły 20-ta rocznica śmierci St. Wyspiańskiego pobudzi krytykę polską do jakiejś żywszej działalności celem choćby częściowego odrobienia poważnych braków i zaniedbań, jakie w stosunku do autora „Wesela” ciąży na naszym sumieniu. Wszak dotąd nie mamy nietylko monograficznych opracowań poszczególnych działów twórczości Wyspiańskiego, jako poety, dramaturga, plastyka; nie mamy nietylko monografii przedstawiających zasługi Wyspiańskiego jako budowniczego i reformatora teatru polskiego, czy ujmujących główne elementy jego tak samorodnego stylu, ale brak nam nawet wyczerpującej, w duchu nowoczesnych badań psychologicznych napisanej biografii autora „Wesela”, na tle przeżyć rozsnuwającej linię jego duchowego rozwoju, brak nam wszechstronnie, a syntetycznie ujętego obrazu całokształtu jego twórczości, brak nam nawet porządnego, kompletnego, szerokim sferom dostępnego wydania pism poety, (omówiona bowiem w jednym z poprzednich zeszytów edycja warszawska po pięciu latach doszła zaledwie do czwartego tomu). Niestety obchód 20-lecia śmierci Wyspiańskiego nie został upamiętniony żadnym wybitniejszym z tego zakresu dziełem. Poza garścią artykułów po perjodykach, operujących mniej lub więcej zdawkowymi frazesami i rzadka tylko przynoszących jakiś ciekawy szczegół, pojawiło się zaledwie parę większych prac, przeważnie jednak młodszych, zgoła początkujących pracowników.

Najciekawsza wśród tego pokłosa jubileuszowego jest książka młodego poznańskiego krytyka-polonisty Stanisława Kolbuszewskiego p. t. „Stanisław Wyspiański a romantyzm Polski” (Poznań 1928. Fiszer i Majewski), a więc pretendująca do rozwiązania tak niezmiernie doniosłego w twórczości autora „Wesela” problemu, problemu zawilego i trudnego do ujęcia, a dotąd w najrozmaitszy sposób oświetlanego. St. Kolbuszewskiemu nie można odmówić istotnego znawstwa, a nawet umiłowania przedmiotu, choć chwilami gubi się on w chaosie szczegółów, Oparłszy się naogół na dość trafnej i czasem oryginalne przynoszącej spostrzeżenia analizie poszczególnych utworów, przeprowadza Kolbuszewski gruntowną rewizję aktualnego zagadnienia: stosunku Wyspiańskiego do romantyzmu. Maluje on kolejne etapy rozwoju psychiki Wyspiańskiego w trzech okresach jego życia, wiążąc główne elementy twórczości autora „Wesela” z wpływami romantyzmu polskiego. Według Kolbuszewskiego stosunek ten przechodził trzy zasadnicze fazy, przekształcając się z młodzieńczej apoteozy romantyzmu w dążność do uniezależnienia swego światopoglądu i ideologii w okresie męskiej dojrzałości, będącym równocześnie okresem walki z destruktywnym wpływem romantyzmu na epokę współczesną, aby u schyłku żywota poddać się znowu czarowi mistyki romantycznej w duchu genezyjskiej nauki Słowackiego, skojarzonej z pierwiastkami religii helleńskiej. St. Kolbuszewski jednak, który na kilkuset stronach swej książki zajmuje się wykazywaniem romantycznych rysów w psychice Wyspiańskiego, dochodzi pod koniec do dość nieoczekiwanej konkluzji, iż autor „Wesela” mimo wszystko romantykiem nie był, różnił się bowiem z nimi w szczegółach swego romantycznego naogół światopoglądu, a psychiką swoją, którą krytyk określa jako „w pokładach niemal nawskroś romantycznej” obejmował również cechy różnych innych epok literackich, jak renesansizmu, neoromantyzmu, symbolizmu.

Chcąc zaś uwieńczyć pracę jakimś oryginalnym określeniem stanowiska Wyspiańskiego, mianuje go krytyk ni mniej ni więcej tylko „pierwszym (przez walkę z passeizmem, optymizmem, impresjonizmem i t. p.— izmami w literaturze świata twórcą programu futurystycznego (!) i prekursorem nowej (futurystycznej) epoki”. Nowe to i śmiałe, ale nieprzekonywujące.

Poważną, z rzetelnym fachowem przygotowaniem i ciekawie pod względem metodycznym przeprowadzoną pracą jest pierwsze monograficzne studjum poświęcone wyłącznie analizie stylu Wyspiańskiego, pióra Henryka Balka p. t. „Z badań nad wyobraźnią artystyczną St. Wyspiańskiego” (Lwów 1928. Zakład Nar. im. Ossolińskich). Po szczegółowym zanalizowaniu występujących w poezji Wyspiańskiego porównań i metafor, na motywach ze świata zwierzęcego i roślinnego opartych, dochodzi badacz do określenia charakteru wyobraźni artystycznej autora „Wesela”, charakteru raczej emocjonalnego, aniżeli plastycznego, jak to w powszechnym dotąd ujęciu się mniemaniu. Tak często u Wyspiańskiego występującym motywem orła ilustruje krytyk patetyczny nastrój jego poezji. Ten emocjonalny charakter wyobraźni wyraża się u Wyspiańskiego w walorach wybitnie muzycznych t. j. „przez osnuwanie przedstawień patetyczną mgławicą asocjacyjno-uczuciową, działającą zupełnie tak samo, jak muzyka”. Z tą muzycznością wyobraźni łączy Balk także ekspresjonizm malarskiej twórczości Wyspiańskiego, szczególnie jej „pulsującą krwią uczuciowości kolorystykę”. Praca H. Balka zasadniczo dla fachowca bardzo ciekawa jako przykład rzeczowego zastosowania pewnej dyscypliny metodycznej, w przeważnej jednak swej części jest właściwie tylko bruljonem analitycznych studjów krytyka, zawierającym głównie materiał surowy, dla przeciętnego czytelnika nie przedstawiający żadnego interesu. Istotnie ciekawem i na publikację dla ogółu zasługującym jest tutaj jedynie to, co autor ze swych szczegółowych obserwacji i badań w formie ostatecznych wniosków wyciąga i jako syntezę wyobraźni artystycznej Wyspiańskiego podaje, a więc zaledwie ostatni, kilkudziesięcio-stronicowy rozdział książki.

Pracą interesującą, również pierwszą w swym zakresie, przytem pod względem graficznym w bardzo piękną przyozdobioną szatę jest wydane w ograniczonej liczbie egzemplarzy przez Towarzystwo Bibliofilów w Łodzi studjum Przemysława Smolika p. t. „Zdobnicstwo książki w twórczości Wyspiańskiego” (Łódź 1928), przynoszące dokładną charakterystykę graficznej twórczości Wyspiańskiego, jako pierwszego w Polsce pioniera estetyki książki, w nawiązaniu do współczesnych wysiłków w tym zakresie artystów zachodnio-europejskich: prerafaelitów, Morrisa, Craina a w szczególności Grasseta, którego wpływu dopatruje się krytyk (przesadnie) w zamiłowaniu Wyspiańskiego do roślinnych motywów ornamentacyjnych. Ponieważ o tej ciekawej, bogato ilustrowanej (reprodukcjami winiet i kart tytułowych) pracy było już w „Myśli Nar.” zamieszczone sprawozdanie, wobec tego zarejestrowawszy jedynie jej ukazanie się, nie będziemy się dłużej nad nią zatrzymywali.

Syntetyczne ujęcie tak niezwyklego a złożonego fenomenu, jakim był Wyspiański plastyk, poeta i człowiek zapowiada szumnie w podtytule swej pracy Wincenty Trojanowski autor obszernego, ale mało wartościowego studjum p. t. „St. Wyspiański. Artysta, człowiek, życie” (Warszawa 1928. Księgarnia F. Hoesicka). Że zamierzonej syntezy autor osiągnąć nie mógł, to wynika już z samej koncepcji pracy, napisanej podobno jeszcze przed wojną, jako charakterystyka twórczości plastycznej Wyspiańskiego, obecnie z okazji jubileuszowego zapotrzebowania na nowo podjętej i po

skich Ognisk Wychowawczych Wiejskich.\*). Kieruje tą szkołą dawny współpracownik księdza Gralewskiego znakomity pedagog, b. minister Tadeusz Łopuszański, otoczony gronem nauczycieli młodych i pełnych zapału; ci ludzie dają gwarancję, że Rydzyna stanie się świetnym, daleko promieniejącym ogniskiem polskiej oświaty i kultury.

Leciałem do Poznania (zwyczajnie, aeroplanem) z radością, ciekawy, jakie zmiany zastanę tam po ośmiu latach — i na wstępie już doznałem miłego wrażenia przelatując nad rozległymi terenami Powszechniej Wystawy Krajowej i dostrzegając, że wre na nich wyteżona praca. Wyjeżdżałem z Rydzyny — kierując się ku domowi — ożywiony najlepszymi nadziejami, w podniosłym nastroju. Myślę, że każdy Polak z Warszawy czy z Wilna, ze Lwowa, z Krakowa czy z Łucka mógłby wracać do domu z wycieczki po Wielkopolsce w takim nastroju. Trzeba tylko by nie zrażał się pozorami, by miał oczy otwarte na spokojne piękno tej ziemi naszej, by umiał dosłuchać się ech przeszłości wśród starych murów i nieodwiedzanych przez obcych cmentarzy, a nadewszystko trzeba, aby się przyjrzał i przekonał, jak się tam buduje, jak tworzy, jak się Polskę kocha czynem, bez wzywania nadaremno jej świętego imienia.

BOLESŁAW GAWECKI

\*) Ob. „Myśl Narod.“, rok V, № 13, 26/XII 1925 r.

## PRZEGLĄD POLITYCZNY

Stronnictwo narodowe.—Pomyślnie warunki dla jego organizacji.—Rząd w sprawie bilansu handlowego.—Strajk w Łodzi.

**D**NIA 7 b. m. odbył się w Warszawie pierwszy organizacyjny zjazd Rady Naczelnej Stronnictwa Narodowego. Rozpatrzone na nim i przyjęto program Stronnictwa, który będzie ogłoszony w dniach najbliższych, oraz dokonano wyboru władz (prezydium Rady Naczelnej i Zarząd Główny). Prezesem Stronnictwa obrany został Joachim Bartoszewicz, wybitny pisarz polityczny, b. senator, b. prezes Polskiego Komitetu Wykonawczego na Rusi.

Powstanie Stronnictwa Narodowego jest w historii kierunku narodowego w Polsce faktem dużego znaczenia. Kończy ono okres, gdy parlamentarnym odpowiednikiem obozu narodowego był luźny zespół kilku stronnictw t. zw. „narodowych“, skupiających się pod sztandarem „jedności narodowej“ w chwili walki wyborczej, następnie zaś, na terenie sejmowym, „maszerujących oddzielnie“, często w różnych zupełnie kierunkach. Dziś jedynym wyrazicielem kierunku narodowego, o ile chodzi o bieżącą politykę sejmową czy samorządową jest, Stronnictwo Narodowe. Dał temu wyraz pracujący nad zorganizowaniem całości kształtu życia narodowego Obóz Wielkiej Polski, który członkom swoim, biorącym czynny udział w akcji politycznej, pozwalał dotychczas należeć do stronnictw rozmaitych, obecnie zaś uznał Stronnictwo Narodowe za jedyny swój odpowiednik w tej dziedzinie.

Chwila, w której Stronnictwo Narodowe rozpoczyna swą pracę, bardzo jest dla jego organizacji pomyślna. Jest pomyślna przede wszystkim dlatego, że stronnictwo zajmuje stanowisko opozycyjne, nie może jednać sobie zwolenników ani posadę, ani koncesję, ani kredytem, wymaga od nich jedynie narażania

się i ofiar bez żadnych osobistych korzyści. Poważna to rękojmia, że do tworzącego się Stronnictwa Narodowego garnąć się będą jednostki o mocnych zasadach i niezłomnym charakterze.

Położenie Państwa, zwłaszcza jeżeli chodzi o stosunki gospodarcze i społeczne, budzi poważną troskę. Jest to zjawisko tem smutniejsze, że zarówno Rząd obecny, jak popierający go obóz Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem właśnie na zagadnienia życia gospodarczego położyli nacisk szczególny, a sukcesy polityki rządowej w tej dziedzinie wynagrodzić miały społeczeństwu polskiemu ten niemiły skądinąd stan rzeczy, iż — jak mówił Prezydent Mościcki — potrzeba jeszcze „dużych wysiłków“, ażeby w Państwie zaplanowała... „najwyższa praworządność“.

Największy niepokój budzić też musi stale bierny bilans handlowy Polski, którego deficyt w ciągu pierwszych siedmiu miesięcy roku bieżącego dosięgnął sumy 712 milionów złotych. Dnia 12 lutego r.b. obecny Prezes Rady Ministrów (podówczas wicepremier), prof. Bartel, temi słowy na publicznym zebraniu w Krakowie odpowiadał tym wszystkim, co wskazywali na niebezpieczeństwa, związane z pogarszaniem się bilansu handlowego: „To co się dzieje“ — mówił — „dzieje się za naszą wola... Gdybyśmy uznali, że bilans przez cały rok ma być ujemny, to w chwili obecnej Polskę na ten luksus stać“.

Już wówczas przytaczając na temże miejscu to oświadczenie, pisaliśmy („Myśl Narodowa Nr. 8 z dn. 2 marca r. b.):

„Skoro to, co się dzieje, dzieje się za wolą rządu, wystarczy tylko zwrócić się do „sfer miarodajnych“ z błaganiami „Na miłość Boską, nie „uznawajcie“, że bilans przez cały rok ma być ujemny, zgódźcie się, postanówcie jaknajprędzej, ażeby stał się dodatni, albo przynajmniej wyjaśnijcie opinii publicznej, dla jakich niezrozumiałych motywów uczynić tego nie chcecie?“

Czas mija, bilans handlowy jest w dalszym ciągu ujemny, a Polskę coraz mniej „stać“ na „luksus“ takiej polityki...

Niepokojącym objawem jest również niewątpliwie strajk, jaki ostatnio wybuchł w przemyśle włókienniczym w Łodzi. Dnia 4 b. m. pojawiła się w prasie następująca notatka:

„Główny inspektor pracy p. Klott oświadczył... co następuje Czynniki rządowe wystąpiły z energiczną interwencją dla zlikwidowania zatargu łódzkiego, by nie dopuścić do ostateczności, mogących przynieść niepowetowane szkody naszemu przemysłowi. Dzięki tej interwencji mogę już dziś stwierdzić, iż zatarg zostanie załatwiony w drodze polubownej i do strajku nie dojdzie“.

Nazajutrz można było czytać w gazetach wiadomość pod tytułem: „W Łodzi wybuchł strajk robotników włókienniczych. W zagłębiu krakowskim i dąbrowskim grożą strajkiem górniczy“. Dzień 6 b. m. przyniósł doniesienie: „Strajk w Łodzi objął 80 tysięcy robotników“. Dnia 10 b. m. „strajk uległ zaostrezeniu przez wycofanie z zakładów przemysłowych służby pomocniczej, oraz dozorców“. Dla pełności obrazu warto zaznaczyć, iż w obecnym strajku łódzkim obie strony, zarówno robotnicy jak fabrykanci, należą do obozu bliskiego politycznie Rządowi, bowiem jak słusznie przypomina żydowski „Nasz Przegląd“ — „zarówno PPS. z pod znaku p. Ziemięckiego jak i Szajblery i Poznańscy są zdeklarowanymi sanatorami“.

też w planie pobieżnym szkicem twórczości poetyckiej do druku oddanej. Stąd zasadnicza dysproporcja, gdyż książka w trzech czwartych swej zawartości traktuje o Wyspiańskim jako malarzu, dopiero przy końcu dodatkowo pobieżnie wspomina o twórczości poetyckiej i to przeważnie z punktu widzenia jej malarskich walorów ujętej. Pozatem książka roi się od nieścisłości w szczegółach, fałszywych spostrzeżeń i apodyktycznie narzucających sądów. Jako taka jest typowym produktem dyletantyzmu.

Bardzo pożyteczne i oryginalnie pojęte, prawdziwie pierwsze tego rodzaju u nas wydawnictwo zainicjowała warszawska „Biblioteka Polska“, dając w cyklu t. zw. „Wielkiej Biblioteki“ specjalne tomiki z przedrukami arcydzieł literatury polskiej i obcej, zaopatrzonemi w obszernie objaśnienia i przypisy. W wydawnictwie tem, powstającym pod redakcją prof. Wł. Gałeckiego wyszło m. in. „Wesele“ w opracowaniu Leona Płoszewskiego (Warsz. 1928. „Biblioteka Polska“). Opracowanie to (osobny tomik, liczący 104 str. druku) składa się z objaśnień leksykalnych (słowniczka) nieraz może za daleko posuniętych, szczególnie przy podawaniu znaczenia wyrażen ludowych lub staropolskich, powszechnie znanych, względnie łatwych do odgadnięcia, oraz z obszernych przypisów, traktujących o genezie utworu (podłoże realne, szczegółowe omówienie rodowodu „osób dramatu“ i znaczenia symbolów), dalej o dziejach „Wesela“ (premiera krakowska i jej odgłosy, historia „Wesela“ na scenach polskich) i sądach o niem (zagadnienie aktualności, „Wesele“ w literaturze i sztuce). Przyczem należy podkreślić metodyczną i pedagogiczną wartość komentarza, który autor utrzymuje w odpowiednich granicach, nie objaśniając np. wszystkich momentów (np. analogij literackich), lecz tylko na nie ogólnie zwracając uwagę, pozostawiając czytelnikowi dopracowanie szczegółów według podanego planu, przez co zmusza do samodzielnego wysiłku myśli. Wydawnictwo mające specjalne znaczenie dla szkół, jako znakomita podstawa do dyskusyjno-heurestycznego sposobu nauczania, niemniej jednak zasługuje na poparcie w najszerszych kręgach czytelników. Objasnienia bowiem, mimo popularności opracowania, przynoszą dużo ciekawych, nieraz mało znanych wiadomości, przytem przejrzyste zestawionych, i w ten sposób zrozumienie danego dzieła ułatwiających, ponadto zaś zaopatrzone są w bogaty materiał ilustracyjny, zarówno o artystycznej, jak i naukowej wartości (portrety, karty tytułowe pierwodruków, reprodukcje obrazów i rzeźb związanych z danem dziełem i t. p.).

Kraków

RAJMUND BERGEL

### KRÓTKA HISTORJA ŻYDÓW

**S**KROMNIE zatytułowana książka braci Tharaud: „Krótka historia Żydów“ („*Petite Histoire des Juifs*“, wydana w roku zeszłym u Płona) i tak jednak tytułem swoim zbyt wiele obiecuje. Wykład (jeśli można tak nazwać niezmiernie płynny i lekki wątek narracji autorów)—wykład istotnie jest krótki, bo obejmuje zaledwie około 300 stronnic — lecz nie ma bynajmniej za przedmiot całej historii Żydów. Właściwie ogranicza się do wyjaśnienia roli ghetta w dziejach diaspory i do naszkicowania w bardzo szybkich i pobieżnych rysach dziejów wewnętrznych ghetta, o ile te wyraziły się w ruchach religijno-umysłowych w okresie od średniowiecza do dnia dzisiejszego. Przy sposobności roztrząsa także, nie wyczerpująco bynajmniej, sam fenomen odrębności Żydów. Za punkt wyjścia obiera znaczenie religij i ksiąg świętych, zwłaszcza Talmudu, dla umysłowości i duszy

żydowskiej, a zjawisko ghetta objaśnia właśnie powszechnym dążeniem Żydów do zachowania czystości obrządku i wyznania. Zamknięcie to, z początku dobrowolne, staje się z biegiem czasu przymusowe. Zarazem Kościół, zabraniając chrześcijanom lichwy, temsamem zachęca do niej, jak i do handlu — Żydów. Dramat umysłowy, rozgrywający się wewnątrz ghetta, polegał na walce odruchów imaginacji z racjonalizmem. Ten ostatni kulminował w rewolucji umysłowej, jaką wzniecił za czasów średniowiecza Majmonides, przerabiając Talmud, i nadając regułem jego, za wpływem myśli grecko-arabskiej, logiczną i wolną od sprzeczności postać, a tem samem hamując dociekania, do jakich nieograniczone pole daje panujący w Talmudzie chaos przepisów. Jakby reakcja na tę próbę skrępowania, powstaje w w. XIII kabała, dzieło ekscentrycznej fantazji, twórczy kompilacja, Żyda hiszpańskiego, Mojżesza de Leona. Los Żydów, najcięższy w tym wieku, jak również w dwóch następnych, nie pobudził jednak ghetta, rzecz dziwna, do skarg poetyckich nie odbił się w poematach niedoli. Niewolnikom ghetta przyniósł poprawę położenia renesans, który krzewił kult miłowania do starożytności pogańskiej hebrajszczyzny. Nowy kult Jowisza i Wenery osłabił nienawiść wyznaniową do nie-chrześcijan. Dalszy krok zrobiła reformacja, która cały niemal oręż do walki z tradycyjnym chrześcijaństwem pożyczyla już to wprost od żydowskich krytyków katolicyzmu, już to od polemistów arabskich, których poznała z przekładów hebrajskich. Reformacja korzysta więc od razu z gotowego arsenału krytyki i zarzutów. „Niema przesady w twierdzeniu, że protestancka krytyka katolicyzmu prawie cała wyszła z krytyki, jaką od wieków uprawiali filozofowie arabscy i żydowscy“ (s. 58). Sam wybuch reformacji w Niemczech przygotowany był przez ferment umysłowy, wywołany sporem między Inkwizycją a Reuchlinem, który z entuzjazmem humanisty bronił ksiąg żydowskich przed zniszczeniem. Luter, nakazując powrót do Biblii i komentarzy żydowskich, rozwijał tylko myśl Reuchlina. Atakując zaś Rzym, papieży i mnichów, podjął z większym jeno talentem, wycieczki polemiczne, do których humaniści podczas procesu Reuchlina już przyzwyczaili opinię. W stosunku do Żydów zajmuje niebawem stanowisko nieprzyjazne, lecz sama atmosfera reformacji, duch równości i buntu społecznego sprzyjały wyzwoleniu Żydów. Lecz jeszcze przez parę wieków ghetto trwa dobrowolnie w skostnieniu. Zjawiają się nowi Mesjasze, jak Sabbatai Cévi w w. XVII. Bez trudu zgniata ghetto odstępców w stylu Uriela Acosty, wyłamujących się z pod *régime'u* tradycji. Wyjątkowo oddala się od ortodoksji Spinoza, umiejący spokojnie rozluźnić stosunki swe z synagogą. Ale dopiero Mojżesz Mendelssohn, dzieci ghetta niemieckiego, otwiera w w. XVIII okres, trwający do dzisiaj, kiedy ghetto modernizuje się pod wpływem Zachodu. Mendelssohn wchodzi w wielki świat towarzyski i naukowy Berlina, jakgdyby demonstrując *ad oculos*, że można być Żydem, a jednośnie „dobrym Europejczykiem“. Na jego przekładzie niemieckim Biblii uczą się współwyznawcy (którzy przekładów wyszłych z pod pióra chrześcijan, ma się rozumieć, nie czytali) — po raz pierwszy języka „europejskiego“. Przekład ten wiąże Żydów rosyjskich i polskich z Europą. Pod koniec XVIII w. istnieniu ghetta zagraża już nietyle ucisk, ile wolność, duch emancypacji. Konstytuanta znosi prawne ograniczenia Żydów, zwycięstwa Napoleona emancypują ich w całej niemal Europie. Reaguje przeciw temu Święte Przymierze, lecz stopniowo wszystkie państwa idą za przykładem Francji. Okazuje się jednak, iż wolność sama nie wystarcza, żeby upodobnić Żydów do chrześcijan. Zresztą powstaje nowa świadomość narodowa żydowska. Z najbardziej zacofanych środowisk żydowskich w Europie środkowo-

wschodniej wyłania się opozycja w stosunku do idei Mendelssohna, Smoleński, Herzl, Pinsker reprezentują młody nacjonalizm żydowski. Herzl wysuwa się, jako rzecznik sjonizmu w jego naiwnej fazie. Przychodzi faza dojrzała—(lecz autorzy nie wymieniają głównego przywódcy ruchu sjonistycznego w tej fazie, Aszera Ginsberga)—ze swem cichem hasłem: „posiąść Palestynę i wszędzie zostać“. Dzięki Anglii program zostaje wykonany. Lecz problem żydowski czeka na rozwiązanie.

Czytając powyższą książkę, dowiaduje się czytelnik jednej ciekawej rzeczy. To pewna, że ghetto polskie autorzy wystudjowali lepiej, niż ktokolwiek z piszących u nas kwestji żydowskiej. Niestety, wszechwiedzą w tym zakresie nie mogą powetować niedostatecznego zrozumienia samej kwestji żydowskiej. Nie przychodzi im na myśl spojrzeć na Żydów, jako na społeczność azjatycką, starszą i dlatego trudniej asymilującą się od europejskich. A i wogóle do spojrzenia tego dziwne wybierają stanowisko, czując się niejako w obowiązku „w imię bezstronności“ — wyprzeć się swego synostwa w stosunku do cywilizacji europejskiej. Czy którykolwiek Europejczyk może bez zdumienia przeczytać np. twierdzenie (s. 14), że Talmud o wiele przewyższa prawo rzymskie duchem sprawiedliwości? — albo nie czuć się zaskoczony wyznaniem, że autorzy nigdyby się kwestją żydowską nie zainteresowali, gdyby nie... poezja ghetta. (Przedmowa s. V—VI)?

W. J. C.

#### NA MARGINESIE KSIĄŻKI MAUROIS'A

AUTOR książki „*La vie de Disraëli*“ \*) p. André Maurois, jest Żydem, pierwotne jego nazwisko brzmiało Herzog. I to może właśnie, że jest Żydem, pozwoliło mu wniknąć tak subtelnie w psychologję bohatera książki, że postać jego rysuje się przed oczami czytelników, jak żywa. Uderza w niej wycieniowanie czysto żydowskich właściwości Disraëlego. Widzimy jego ambicję i chęć dojścia do władzy, jego wytrwałość, rasowe śmieszności, poczawszy od przesady w ubraniu, zamiłowania do złotych łańcuchów i złoconych mebli, skończywszy na wschodniej właściwości brania zbyt namiętnego tonu w stawianiu kwestji, — zanim angielskie otoczenie i udział w życiu politycznym nie nauczą go przystosowywać się do zwyczajów tego otoczenia, co, jak wiadomo, przychodzi Żydom z łatwością; oprócz tych zaś, powierzchownych, właściwe Żydom cechy duchowe głębsze: wielkie zdolności i spryt życiowy, umiejętność pozyskiwania ludzi niekoniecznie zapomocą przekonywania ich o słuszności sprawy, rozwinięte uczucia rodzinne, (w tym wypadku, u Disraëlego, nie szły one w parze z szerzeniem na użytek „gojów“ zasad przeciwnych), traktowanie partji politycznej, jak trampoliny w dojściu do władzy, mściwość wobec nieprzyjaciół, cynizm w stosunku do wyznawanych przez społeczeństwo angielskie takich czy innych zasad. Właściwości ujemne uderzają czytelnika tem mocniej, iż autor jest wielbicielem wybitnego męża stanu tak wielkim, iż dostrzega w nim nawet te cechy, które nie zaznaczają się bynajmniej w przedstawionem nam przez niego samego bardzo szczegółowo życiu i działalności Disraëlego (str. 324 i inna); na szczęście jest również i zdolnym pisarzem, który chciał stworzyć postać żywą i zachować jej cechy istotne. W każdym razie, kto chce studjować

\*) „Myśl Narodowa“ zdawała już sprawę z tej książki (nr. 2) r. b; podkreślając dodatnie jej strony i zaznajamiając z jej treścią historyczną. Aby uzupełnić charakterystykę książki, dodajemy nadesłane nam z Francji, a nieznanne u nas szczegóły o autorze.

charakter żydowski, niech weźmie książkę p. Maurois do ręki.

Zrozumieniu psychiki głównego bohatera książki odpowiada jednak w tym samym stopniu niezrozumienie innych z działających postaci, jak np. angielskiego męża stanu, Gladstone'a.

Ponadto uderzają w książce rzeczy następujące: Ani razu w ciągu całej książki nie zaznacza autor, którzy z przyjaciół popierających Disraëlego lub popieranych przez niego, byli Żydami. Przedział między światem nieżydowskim a żydowskim zatarty tu jest jak najstaranniej. Cały stosunek do Rotszylda, który w życiu Disraëlego odgrywać musiał decydującą rolę, zbyty jest kilku słowami, choć przy przedstawieniu życia premiera Żyda, odmalowanie, jako tła, stosunków żydowsko-angielskich, narzucało się samo przez się. Krótka wzmianka o „przeniknięciu do tajemnej potęgi (*puissance occulte*) wielkich finansów“ nie przygotowuje czytelnika dostatecznie do tego faktu, że Rotszyld daje odrazu 4 miliony fr., gdy Disraëlemu chodzi o umożliwienie pewnych politycznych planów.

Autor przytacza poglądy na sprawę żydowską, rozwijane przez Disraëlego w każdej z jego książek, zaznacza gdzieindziej, że działalność jego polityczna była zawsze wcieleniem w życie rozwijanych w książkach zdań. O działalności jednak Disraëli'ego w stosunku do Żydów i sprawy żydowskiej nie wspomina, choć wiemy, że działalność taka istniała. Na Kongresie Berlińskim narzucił Disraëli Rumunji specjalne prawa protekcyjne na korzyść Żydów rumuńskich. Poświęcając Kongresowi Berlińskiemu cały rozdział, autor o fakcie tym nie mówi ani słówka.

W książce tej, autora Żyda o mężu stanu, który był Żydem, przeznaczonej dla czytelników aryjskich, autor trzyma się tego samego systemu, jakiego trzymają się Żydzi w praktyce: przemilczania działalności politycznej żydowskiej.

Jest to jeszcze jeden rys tej interesującej książki, zastępujący na podkreślenie.

M. WIERZBINA

#### Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Ukazało się w handlu nowe, systematyczne opracowanie naszego ustawodawstwa skarbowego skreślone znakomitem piórem profesora ekonomji i skarbowości na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie, oraz długoletniego praktyka skarbowości państwa, jakim jest Stanisław Głabiński („Polskie prawo skarbowe“, Lwów 1928 nakładem autora, str. 128). Dotychczasowe opracowania naukowe tego przedmiotu, a mianowicie tegoż autora „Zarys ustroju skarbowego“ ogłoszony w „Encyklopedji Prawa obowiązującego w Polsce“ (w Poznaniu r. 1926) wraz z „Uzupełnieniem“ z r. 1927, oraz opracowanie Ignacego Weinfeldta, docenta tegoż uniwersytetu, wymagały już uzupełnień dalszych, jako niekompletne z powodu zmian zaszytych. „Polskie prawo skarbowe“ prof. Głabińskiego stanowi dodatek do wydanego przez tegoż autora systematycznego wykładu nauki skarbowości („Nauka skarbowości“, wydanie nowe (trzecie, Warszawa—Lwów, r. 1925, str. 584).

\*

W dobie kiedy instytucja teatru tak jest przez czynniki różniczne zagrożona, bardzo ważną jest rzeczą przypominać młodemu aktorowi usilnie, że „zabójczą rzeczą w teatrze jest niedoskonałość mowy... Mowa to człowiek, niema mowy, niema wtedy i człowieka, a kiedy człowieka niema na scenie, scena wtedy jest pustem miejscem... Żeby ją zaludnić, musimy wychować aktora. Kształćmy mowę, ponieważ w tem zasadza się cała istota teatru“. Takie zdrowe i niesnobistyczne myśli stara się czytelnikom wpoić S. Wołkoński, w swym przez M. Szpakiewicza tłumaczonym, a przez Św. Wojciecha wydanym podręczniku wymowy pt. „Słowo wyraziste“. P. Szpakiewicz, kierownik „Placówki żywego słowa“, której przedstawienia tak jednogłośnie zyskują uznanie widzów, opatrzył tłumaczenie również cennymi i śmiało uwagami, jak np. przeciw zacierananiu rytmu i tp. Książka jest może za trudna, aby korzystał z niej praktyk wymowy; ale nauczyciel recytacji — a powinien nim być każdy polonista —

## NOTATKI i MATERJAŁY

## DWA LISTY STANISŁAWA AUGUSTA

ZARÓWNO w pamiętnikach Jana z Dukli Ochockiego, jak też w pamiętnikach Seweryna Bukara, jest wzmianka o korespondencji króla Stanisława Augusta z sędzią ziemi Żytomirskiej Bukarem, ojcem pamiętnikarza. St. August wstawiał się za Raczyńskim, adwokatem przy trybunale lubelskim i późniejszym sekretarzem konfederacji Targowickiej, który konkurował o rękę Bukarówny, znacznie od niego młodziej. Dwa z tych listów wpadły nam w ręce. Ogłaszamy je, chociaż nie zawierają wiele treści, ale są ciekawe z tego względu, że dowodzą, jakimi drobnostkami zajmował się król, nawet w chwilach dla państwa najkrytyczniejszych. Mogą się one zresztą także przydać przyszłemu wydawcy pamiętników Ochockiego, które są już wyczerpane, a przytem ze względów cenzuralnych nigdy nie wyszły w całości.

## I

Z Warszawy 20 Grudnia 1791

Mości Panie Sędzio Ziemi Żytomirski

Ukontentowała mnie mocno ta wiadomość że Wny Pan postanowił wydać Córkę swoją za godnego i wielce ode Mnie szacowanego Obywatela Jana Raczyńskiego, iak imieniem tak sławą publiczną z pięknych przymiotów w kraju naszym znakomitego. Niemogę niecieszyć się z takiego W Pana wyboru, którym i garnącego się do Jego Familii Kawalera uszczęśliwisz i sam ze związku tego, iako dobry, przezorny i cnotliwy Ojciec, zupełne serca swojego znajdziesz ukontentowanie. Racz tylko Wny Pan przyspieszyć skutek determinacji swojej, aby ta przeznaczona od Boga para, za błogosławieństwem, godnych ode Mnie ukochanych Rodziców, iuż złączona odpowiadała, tak ich nadzieiom, iako też Moiej, z iey wzajemnego uszczęśliwienia Satisfakcyi. Interesowanie się Moie być może pewnym dowodem, że iak Rodzicom, tak ich dzieciom Łaski i względów Moich nigdy nie ubliżę.<sup>1)</sup>

Stanisław August Król

## II

Z Warszawy 25 Junii 1789

Mości Panie Sędzio Ziemi Żytomirski

Za przybyciem tutaj J Pana Wojewody Kijowskiego, czytałem wraz z Nim list W Pana de 29 Maja.

Bardzo dobrze iest, że powtórzonym Aktem J Pan Podkomorzy Bierzyński wraz z W Panami uwolnił Województwo od tej Milicyi, którą Akt Xcia Kąliksta Ponińskiego chciał uformować.

Chciey mi W Pan donieść kto iest ten i z czyiej ręki, który to po powiecie Owruckim iężdź i podpisy zbiera, na Papierze Stęplowym y co te pismo zawiera y iężeli się tam impreza mnoży, którey rozszerzaniu wszelako zabiegać należy, a jeżeli co jest istotnego, chciey W Pan donieść

<sup>1)</sup> Małżeństwo to istotnie doszło do skutku, ale było nieszczęśliwe, jak wiemy z pamiętników Bukara, i po paru latach pożycia rozeszło się.

o tem nietylko Mnie, ale y J Panu Potockiemu Generalowi Artylleryi.<sup>1)</sup>

Podpisałem wczoray Podstolstwo Żytomirskie dla Syna W Pana y oddałem Przywilej na ręce J Pana Wojewody Kijowskiego.<sup>2)</sup>

Co wyraziwszy wszelkich W Panu z serca życzę od Boga pomyślności.

Stanisław August Król

A gdyby Wny Pan mógł dostać exemplarz takowego Pisma stęplowego, to go W Pan przyslij tu, J Panu Marszałkowi Seymowemu Małachowskiemu.<sup>3)</sup>

Podał do druku

Kielce

FELIKS CHWALIBÓG

<sup>1)</sup> Szczęsny Potocki?<sup>2)</sup> Stępkowskiego?<sup>3)</sup> Dopisek ten zrobiony własną ręką króla.

## NA MARGINESIE

W celu rozbicia opozycji PPS, zafundowano — ludziom tej partji, oddanym min. Piłsudskiemu, nowy dziennik pt. „Przedświt“. Organ urzędowy „Epoka“ donosi, że faktycznym kierownikiem dziennika jest pos. Jaworowski. Drugi organ „Głos Prawdy“ dodaje, że na czele grupy, która się odłamuje od PPS, staje Bolesław Czarkowski, jeden z „najwybitniejszych działaczy socjalistycznych, członek wydziału bojowego PPS., w latach 1905—1907, który wspólnie z Józefem Piłsudskim tworzył bojową organizację. Obok niego znajdzie się w tej grupie szereg działaczy i myślicieli PPS. wedle busoli wielkiego dzieła niepodległościowego PPS. i demokracji polskiej“. Co się tyczy nowego dziennika, to będzie on, według „Głosu Prawdy“ organem min. Jędrzeja Moraczewskiego.

W ten sposób zmienia się ustosunkowanie sił na korzyść lewicy w sferach sanacyjnych. Co bowiem reprezentuje p. Jaworowski? W d. 7 paźdz. w mowie wygłoszonej do młodzieży robotniczej Jaworowski mówił: „Oddawna hasła rewolucyjne ogarniają coraz szersze warstwy społeczne. Z każdym pokoleniem zaostrza się czerwień naszych sztandarów, prąd rewolucyjny wzmagą się coraz bardziej. Idźcie dalej od nas, miejcie więcej odwagi. Życzę wam, byście otrzymawszy Polskę niepodległą, zostawili waszym synom Polskę socjalistyczną. Życzę wam, byście doczekali się czerwonych sztandarów nad Radą Miejską i Sejmem. Rewolucjonizujcie się, bądźcie mocni i śmiały! (Okłaski)“.

Tak wygląda wzmocnienie radosnej twórczości państwowej przez dopływ nowych „działaczy i myślicieli“.

\*

Do paradoksów pracy intelektualnej w Polsce zaliczyć należy taki ciekawy fakt, że miesięcznik „Przegląd Współczesny“, umiejący obsadzić wiele dziedzin naukowych odpowiedzialnymi znawcami przedmiotu, gdy chodzi o zagadnienie idei narodowej, powierza referat... Al. Lednickiemu. Paradoksalność polega na tem, że autor tego wypracowania, polegającego na parafrazie drugorzędnych pisarzy masońskich zagranicznych, jest okazem tragikomicznego typu międzynarodówki, który nigdy sam nie wiedział do jakiej narodowości należy. Propagandę esperanckich idei Paneuropy, dokonywany w miesięczniku, poważnym w czasie, kiedy pierwszym zadaniem umysłów polskich powinno być wykończenie duszy narodu jako dojrzałej osobowości, należy naszym zdaniem zakwalifikować, jako karygodny brak odpowiedzialności moralnej wśród kierowników ruchu umysłowego.

Redaktor „Przeglądu“ na ostatniej stronie zeszytu, który otwiera rozprawa Lednickiego, przytacza zdanie myśliciela Amiela o Polsce (1848): „Polacy, naród świetny i niedojrzały zarazem, wzbudzają we mnie podziw zmieszany z żalem. Naród ten nadto jest ruchliwy, aby umrzeć, ale z drugiej strony nie ma siły do życia“. Masonerja—dodamy—pracuje nad tem, aby ten naród nigdy nie dojrzał i nigdy nie znalazł siły do życia w zorganizowanej psychice. W tym celu narzuca narodowi cywilizacji zachodniej „mentalność“ najniższego w Polsce typu, wyhodowanego na ideałach żydowsko-rosyjskich między Mińskiem Litewskim a Moskwą.

znajdzie tu poważny, systematyczny podręcznik nomenklatury recytacyjnej i ćwiczeń wymowy. W każdym razie zaznaczyć wypada, że dziełko to, jakkolwiek pożyteczne, nie powinno wyprzeć, dziś niestety niedocenionych, książek Tennera o „technice“ i „estetyce żywego słowa“, z ich tak nieraz subtelnymi i pouczającymi analizami estetyczno-fonetycznymi. (Przy sposobności, warto je, o ile są wyczerpane, polecić uwadze wydawców).

Emil Zegadłowicz wydał drugą część dzieł Miłkołaja Srebrepisanego pt. „Z pod młyńskich kamieni“. (Nakład Księgarni św. Wojciecha.) Z zainteresowaniem czytamy, jak Miłkołaj podраста i otwiera wielką księgę Nauki, poznawszy już wiele z niepisanych kart Przyrody, jak mu serce drżeć zaczyna nowym uczuciem, jak zmieniają się goście jego, co słyszy z ust ludzi, jakie podania wyłaniają się ze starego domu i okolicy, budząc w dziecku poczucie nadzwyczajności, a wkońcu poznajemy całe tło prowincjonalne, świetnie zaznaczone w kronikach i żywych postaciach.

M. H. Szpyrkówna celuje zawsze w opowieściach o młodocianych sercach dziewczęcych, odczuwających pierwsze żywsze porwy głębszej natury. Tenże temat obrała w świeżo wydanej swej powieści p. t. „Nena zaczyna żyć“ (Poznań, nakł. K. Rzepeckiego). Jest to właściwie dopiero początek powieści, której części dalsze mają się jeszcze ukazać. Tytułowa bohaterka jest małym dziewczęciem, którego matka przez nieogłędne życie straciła majątek — ten zwolna przechodzi pod zarząd, a następnie na własność jednej z ciotek. Ponieważ rozpieszczonej jedynaczce, a wnet sierotce, trudno się nagiąć do nowego porządku, przeto dzięki interwencji nianiusi, starej Malickiej (prześliczna to postać), oraz dzięki poparciu „wujaszka“ — którego stosunek do matki Neny był jakiś zagadkowy — zostaje oddana do internatu. Życie pensjonarek, tak często traktowane w naszej powieści, począwszy od Prusa i Zmijewskiej, ma u Szpyrkówny koloryt odrębny, wyrazisty; typy koleżanek Neny uchwycone są sprawnie. W miejscu najbardziej intrygującym akcja się urywa. Dalszego ciągu tej powieści czekać pewno będą z niecierpliwością rzesze czytelników, wśród których Szpyrkówna — narówni z pokrewną sobie talentem Miłaszewską — zdobyła sobie popularność.

Brak podręcznika liturgii katolickiej odczuwano oddawna. Bogata w tej dziedzinie literatura zagraniczna tylko w drobnej mierze z powodu trudności językowych zaspokajała potrzeby. Obecnie ukazał się podręcznik ks. Gerarda Szmyda pt. „Liturgia katolicka“ (Wyd. Zakładu Narod. im. Ossolińskich). Liczne ilustracje urozmaicają lekturę.

## U SŁOWIAN

Ciekawą powieść „na czasie“ wydał niedawno znany młody literat słowacki Anton Prídavok p. t. „Rozbité ministerstvo“ (Koszyce 1928). Jest to powieść o wyraźnej tendencji politycznej, mająca charakter propagandy uświadomienia narodowego. Temat powieści łączy się z wielkowiegierską akcją o rewizję traktatu w Trianon. Autor wybornie potrafił scharakteryzować współczesne społeczeństwo słowackie, stopniowo dopiero uświadamiające sobie niebezpieczeństwo akcji węgierskiej, usypiane zdradziecką pracą agentów Budapesztu. Nad ich robotą jednak wkońcu zwycięża zdrowy duch słowiański. Powieść nie ma zbyt wysokich zalet artystycznych jako utwór propagandowy, ale czyta się z zajęciem.

W dziesiątym roku oswobodzenia Słowaczyny z pod jarzma madziarskiego wydał Związek Studentów Słowackich bardzo interesującą książkę pt. „Mor ho!“ (Jest to tytuł głośnego poematu poety narodowego odrodzenia Sama Chalupki idealizującego obronę ojczyzny, i znaczą te słowa: „zwycięz go!“) Książka ta opisuje dzieje związku uczniów szkół średnich w różnych miastach słowackich przed wojną, który nosił nazwę „Mor ho“, a miał na celu kształcenie się w mowie i historii ojczystej i uświadamianie ludu. Związek był oczywiście tajny, ale władze węgierskie odkryły go i surowo ukarały jego członków. Obraz stowarzyszenia, pełnego patryjotycznego idealizmu i jego działalność są przedstawione z autentycznych materiałów.

Notujemy ukazanie się w r. bież. w Białogrodzie broszury wydanej przez „Jugosłowiańskie Stowarzyszenie do spraw Ligi Narodów“ pt. „Bulgares et Yougoslaves“. Notujemy ją krótko z powodu tematu jaki omawia: kwestji macedońskiej, przykraj bolączki Słowian południowych. Konkluzje książki zasługują na uwagę, gdyż mówi o potrzebie jedności wszystkich Słowian

połudn. Godna uznania jest i tendencja do wyrównania, mających nieporozumień. Jednakowoż poszczególne rozdziały broszury zawierają znaną nutę: Macedonja nie jest bułgarska ale serbska! Polemika rozogniająca, która nie służy bynajmniej idei zgody i jedności. Rzeczowo przynosi broszura szereg zajmujących danych.

Nauka bułgarska poniosła ostatnio ciężką stratę przez śmierć wybitnego uczonego prof. Iwana D. Sziszmanowa (ur. 1862), specjalisty w dziale porównawczej historii literatury, na któremto polu głównie zajmował się Słowiańszczyzną. Znaczenie zmarłego, który był dłuższy czas ministrem oświaty, zostało należycie określone przez jeden z dzienników, nazywającego go „kulturalnym przewodnikiem Bułgarów“. Sziszmanow mianowicie zdziałał był ogromnie wiele dla podniesienia oświaty w kraju, w szczególności zaś dla rozwoju nauki bułgarskiej, o którą dbał i jako prezes wydziału literackiego Akademii Nauk. Jego to głównie zasługą było stworzenie uniwersytetu sofijskiego. W pracy naukowej miał żywe związki i z Polską, interesował się naszym romantyzmem, głównie jednak zajmował się Ukrainą. Zmarł w czasie kongresu literackiego w Oslo.

## Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

P. Georges Clemenceau przygotowuje dla zbioru „Nobles Vies, grandes existences“ biografię wielkiego swego przyjaciela, malarza Claude Moneta.

Senator Henry de Jouvenel, autor niezmiernie barwnie i charakterystycznie ujętej biografii pt. „La Vie orageuse de Mirabeau“ pracuje obecnie nad „Aurore de la Révolution“, która ukaże się u wydawcy Hachette.

P. Maurycy Bedel, którego książka „Jerome, 60° degré Latitude Nord“ dostała zeszłego roku nagrodę Goncourt, wywołując przytem liczne polemiki w krajach północnych, gdzie toczy się jej akcja, opublikuje niebawem nową powieść pt. „Molinos, Indre-et-Loire“, mająca za tło obrazy z życia departamentu, z którego autor pochodzi.

„Le Pharaon Tout Ank Amon, sa vie et son temps“ (Payot édit.) Autorką tej bardzo interesującej książki jest pani G. R. Tardouis. Opierając swoje prace na szeregu dzieł znanych egiptologów oraz na różnych raportach, odnoszących się do odkrycia grobowca Tout Ank Amona, autorka ze subtelnością kobiecą a zarazem wycuciem i wytwornością kreśli barwne obrazy z życia egipskiego za czasów panowania tego najpiękniejszego ale jakżeż delikatnego Faraona. Opisy wysoce wyrafinowanej cywilizacji egipskiej, dyskusyj filozoficznych, zamiłowanie do sztuki jak i opowieści na temat ceremoniałów ślubnych, balsamowania i pogrzebu są oddane z dużą znajomością historii. Książkę tę sięgającą w tak odległe wieki, czyta się z ogromnym zainteresowaniem.

„Une Fille de H'An“ (Grasset édit.) przynosi nas znowuż na wschód, a mianowicie do Chin, będących terenem zaciętych walk i przewrotów społecznych. Jednakowoż te ostatnie wypadki są jedynie lekko bardzo zaznaczone przez autora, p. Alberta Gervais. Cała intryga tej powieści koncentruje się dookoła młodej Chinki, która zakosztowała miłości młodego lekarza Francuza. Jej i jej siostrzyc psychologja i reagowanie na umysłowość i zwyczaje Europejczyka są bardzo subtelnie ujęte przez autora. Nie zadawała się on jednakowoż odmalowaniem rysów charakteru wyłącznie tamtejszych kobiet, które mogą czytelnika trochę zniechęcić, ale także i samych Chińczyków oraz żołnierzy armji Południa i Północy. Książka ciekawa, pełna nieprze widzianych sytuacji, a napisana barwnie, z subtelną ironją.

P. René-Marie Hermant wydaje u Grasset'a książkę pt. „Ballast.“ Składa się na nią szereg nowel, poświęconych pracownikom szyn. Cały ten świat odrębny inżynierów, dozorców, robotników wreszcie odmalowuje autor z ogromną siłą, opartą na zdrowej moralności pracy, ale i nie pozbawioną liryzmu. Kiedy p. Hermant opisuje lokomotywę, przelatującą w nocy po błyszczących szynach, a ciągnącą za sobą korowód rzesiście oświeconych i jęczących wagonów, to znajdzie na jej określenie tyle oryginalnych zwrotów, iż ma się wrażenie, że lokomotywa ta jest naprawdę jakąś żywą istotą. Ciekawy ten utwór posiada masę zwrotów technicznych, odpowiednio użytych, a styl jedyny

## ZAPROSZENIE DO PRZEDPŁATY NA R. 1929

## MYŚL NARODOWA

Tygodnik poświęcony kulturze twórczości polskiej

pod redakcją ZYGMUNTA WASILEWSKIEGO i JANA REMBIELIŃSKIEGO

Adres Administracji: Warszawa, Al. Jerozolimskie 17. Konto czekowe PKO, 3.105

Adres Redakcji: Marszałkowska 153.

WARUNKI PRZEDPŁATY  
NA R. 1929|| w kraju: 9 zł. kwart., 17 półroc., ||  
32 rocznie|| zagranicą: zł. 12 kwart.  
półroc. 24, rocznie 45 zł.

z dostawą

CENA ZESZYTU 80 GR.

Od 1 stycznia 1929 r. „Myśl Narodowa” będzie wydawana co tydzień. Kwartalnie dochodzić będzie do czytelników 13 zeszytów, zamiast 6. Każdy zeszyt będzie złożony ze stron 16, co czyni kwartalnie stron 208, podczas gdy obecny dwutygodnik daje kwartalnie stron 120.

Otwierając prenumeratę na rok 1929, upraszamy o wczesne zamawianie pisma i nadsyłanie jednocześnie należności za kwartał IV rb. na dawnych warunkach, oraz zaległości. Wpłaty najdogodniej skutecznieć czekami na PKO konto 3.105.

Upraszamy przyjaciół pisma o nadsyłanie adresów znajomych, którzy mogliby i chcieli „Myśl Narodową” zaprenumerować. Na każde żądanie nadeślemy zeszyt okazowy i czeki. Czytelnicy—nie wątpimy—skutecznieć dopomogą w tem wydawnictwu.

Przyjaciele pisma rozumieją jasno, że trzeba przerwać apatię sfer oświeconych, zrażających się do szerszego współżycia umysłowego i współdziałania wskutek zamętu myśli politycznej i etycznej. Przesilenie tego stanu jest już bliskie. Życie bowiem wszystko pokonywa, należy tylko coraz rozumnieć je regulować myślą przewodnią. Jest to zadaniem sfer oświeconych, dla których właśnie wydawana jest „Myśl Narodowa” jako myśl przewodnia.

Sfery oświecone, odpowiadające za losy Polski, nie dojdą do należytej postawy, jeżeli pozwolą sobie wmawiać, że stanowisko narodowe należy do partyjnych. „Myśl Narodową” wszyscy czytać powinni.

Zamiana na tygodnik pozwoli nam rozszerzyć wiele działów i ożywić je przez związanie z zagadnieniami chwili bieżącej. „Myśl Narodowa” jest ogniskiem

dla szerokiego koła pisarzy paru pokoleń ze wszystkich części kraju. W ciągu paru ostatnich lat korzystaliśmy ze współpracownictwa 130 osób, a w tej liczbie trzecia część należy do najmłodszego pokolenia. Widzieć w tem trzeba dowód żywotności pisma.

W „Myśli Narodowej” pisuje Roman Dmowski. Aleksander Świętochowski zamieszcza fejetony „Liberum veto” w każdym numerze. Stale piszą i redagują: Zygmunt Wasilewski i Jan RembIELIŃSKI.

W dziale politycznym i społecznym pisują: Stan. Kozicki, Roman Rybarski, Boh. Wasiutyński, Józef Hłasko, Jan Zamorski, J. Bartoszewicz, Zdz. Stahl, Zygmunt Raczkowski, St. Głabiński, Jerzy Drobnik.

Z dziedziny literatury i sztuki zamieszczaają artykuły: Wład. Jabłonowski, Stan. Pieńkowski, J. E. Skiński, Ign. Chrzanowski, St. Pigoń, W. Bruchnalski, Tad. Grabowski, J. Birkenmajer, St. Cywiński, Wit. Chwalewik, Adolf Nowaczyński, Adam Grz. Siedlecki, A. Wysocki, St. Kolbuszewski, R. Bergel, H. Batowski, I. Briares.

W zakresie zagadnień naukowych (socjologia, historia, psychologia, wychowanie) pisują: Wład. Konopczyński, W. Sobieski, K. L. Koniński, B. Suchodolski, L. Jaxa-Bykowski, Bol. Bator, A. Szpotańska, Bol. Gawecki, L. Konopacki, St. Szpotański, Jan Gw. Pawlikowski, Jan Kornecki.

Utworky swoje umieszczali: Kasprowicz, M. Wolńska, Hłakowiczówna, Zanówna, St. Miłaszewski, W. Miłaszewska, Filochowski, Słonczyńska, Zegadłowicz, Bąkowski, Gałuszka, K. H. Rostworowski, Ruffer, J. Szaniawski, Newlin-Wagner, J. Kawecki, St. Godlewski.

**TREŚĆ:** O stanie kultury politycznej Z. Stahla. — O władztwie i godności K. L. Konińskiego. — Nitsche przegadany i przemilczany J. E. Skińskiego. — Stanisław Noakowski R. G. — Liberum Veto Al. Świętochowskiego. — Głosy: Z dziejów zbrodni; Wrażenia z Wielkopolski B. Gaweckiego. — Przegląd polityczny J. R. — Nauka i literatura: Z najnowszych prac o Wyspiańskim R. Bergela. — Krótka historia żydów W. J. C; Na marginesie książki Maurois M. Wierzbiny. — Notatki i materiały: Dwa listy Stanisława Augusta F. Chwaliboga. — Na marginesie.

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 25-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr 17, 2-gie piętro. Tel. 11-90.

WARUNKI PRZEDPŁATY: kwartalnie z dostawą zł. 6, rocznie zł. 24, za granicą kwart. zł. 9. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI

Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI

Druk. A. Michalskiego, sp. z o. o., Chmielna 27. Telefon 27-15.

PRZESYŁKA POCZTOWA OPLACONA RYCZAŁTEM